

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

WRZECIONO.

Teodor Tomasz Jeż.

WRZĘCIONO.

POWIEŚĆ.



WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.

<http://rcin.org.pl>

1871.



Дозволено Цензурою.

Варшава 11 (23) Ноября 1871 года.

1271
<http://rcin.org.pl>

WRZECIONO.

POWIEŚĆ.

napisał

T. T. Jeź.

I.

— Wrzecionem?!...—zapytałem zdziwiony.

— Wrzecionem...—odrzekł zapytany, a tym był dawny mój znajomy i niegdyś sąsiad, z którym po długim rozstaniu, spotkawszy się niespodzianie w Hyde-Parku, nie mogłem dość o dawnych czasach, o znajomych okolicach i o ludziach się nagać.

— Wrzecionem?!... — powtórzyłem — szczególny koncept!... Pocziwy Gabrys ani się spodziewał, że mu wrzeciono w drogę zajdzie i takiego figla spleta...

— Ale!... nie spodziewał się?... — podchwycił mój znajomy. — Mógł się spodziewać: bo w życiu swoim, ciągle miewał jakieś z wrzecionami wypadki... Raz, o włos oka sobie nie wybił... Drugi raz przebił sobie dłoń... Trzeci raz w ucho się szturknął, tak że o mało nie ogłuchł... Czwarty raz...

— Cóż znów!...—przerwałem.—Zkądże mu przyszło mieć tyle z wrzecionami do czynienia?...



— Spotykał się z niemi w garderobie, w której za życia matki kształcił sentymenta i serce hartował...

Tu interlokutor mój zaśmiał się, rad retorycznemu wysłowieniu, którem osłonił myśl; mnie zaś zrobiło się jakoś niesmaczno, bo z zasad byłem i jestem nieprzyjacielem tego rodzaju kształcenia się i hartowania serc naszej młodzieży—kształcenia się i hartowania, niestety! zbyt rozpowszechnionego.

— Przytem—ciągnął mój znajomy—w księdze jego przeznaczenia zapisanem snadź było, że od wrzeczona zginie... Przepowiedział mu to Iwaś...

— A! Iwaś!... z Michałówki?... podchwycilem, przypomniawszy sobie jednego znajomego więcej.— Cóż z nim się dzieje?...

— Dobrze mu idzie... Podstarzał, zbogaciał, pobudował własnym kosztem cerkiew...

— I zawsze wróży?...

— Zawsze... Nieboszczka sędzina sprowadziła go do Orkiszówki, chcąc się o losie Gabrysia dowiedzieć... Iwaś gniewał się, długo nie dał się uprosić, aż w końcu, wywróżył Gabrysiowi, że od wrzeczona zginie...

— Przecież nie zginął...—przerwałem.

— Nie zginął, to jest: nie umarł; ale, tak jak umarł, bo nie ma już dla niego życia: błąka się po ziemi trupem, z otwartą żrenicą...

— Coś jak Gustaw z Dziadów...

— Tylko wcale nie poetycznie... Straciwszy Orkiszówkę, zrobił się najpoczeiwszym w świecie jolo-
łopem...

Powyższą rozmowę mógłbym prowadzić bez końca, bo długo wieczorem, po całodziennem, dla zwiedzenia szczególności Londynu zbieganiu się, gawędziłem ze starym znajomym — i czytelnik nie wiedziałby o co chodzi. Potrzeba więc rzecz zacząć *ab ovo* — opowiedzieć historję poczciwego Gabrysia, któremu w drogę wlaźło wrzeczono i na którym sprawdziło się tu przysłowie: że „czem kto wojuje, od tego ginie”.

Gabrys, inaczej Gabriel X., był synem jedynakiem zamożnych bardzo rodziców. Nazywano go powszechnie Gabrysiem, z powodu że pełnoletność była mu nie do twarzy. Mama dobrodziejka jeszcze bardziej go spieszczała. W tej ustach Gabrys przemieniał się na Bryś, Brynio i Brynieccko, a niekiedy, na Rys, Rynio i Ryneccko. Powiedzieć winniśmy, że Bryś i Rys, jakoś najlepiej do postaci Gabrysia przypadają. Było w nim bowiem coś brysiowatego i zarazem rysiwatego, co wszyscy widzieli, wyjąwszy mamy, której do samej śmierci wydawało się, że natura nic piękniejszego i lepszego nad jej jedynaka wydać nie mogła.... Gabrys bardzo młodo stracił ojca. W siódmym roku swego życia pozostał sam z matką, i zaledwie jak przez sen przypominał sobie wąsatą, sztywną postać napoleończyka, którego z francuska nazywał „papa”. Przypominał sobie, jak się nim papa cieszył, jak miał go za pewien rodzaj ósmego cudu świata, za człowieczka małego ale ważnego, za niby królewicza, któremu hołd w kołysce się należał. Pod urokiem wspomnień tych, podrastał i wychowywał się.

Mama obchodziła się z nim jak z bolączką—cackała póki był mały, hołubiła gdy wyrastał i miała o nim niezmiennie jak najlepsze wyobrażenie.

O pani X. byłoby dużo, bardzo dużo, do powiedzenia. Należała do tego rodzaju ludzi, co to się pną do wielkości. Pną się, ale samemi tylko pożądaniami. Chcieliby się wysoko, jak najwyżej wznieść—nie mogą—częścią przez lenistwo, częścią przez nieumiejętność.

Pani X. chciała się wznieść, nie w swojej jednakże a w jedynaka swego osobie.

Szkoda że Byron napisał Don-Juana. Nie mogę skreślić charakteru pani X., z obawy aby mnie nie posądzono o kopiowanie go żywcem z donny Inezy. Tyle podobieństwa zachodzi pomiędzy matką byronowego a naszego bohatera!.. z tą jedynie różnicą, że tamta były Hiszpanką a ta Polką, i to Polką po mężu i z domu, należącą do rodzin zapisanych wszystkimi literami w Paprockim, Niesieckim i Okólskim. O pochodzeniu swojem pani X. wiedziała, i z powodu tej wiedzy udawała poważną i zacną matronę. Z powodu tej także jej wiedzy, o sposobie w jaki ona wzięła się do wychowania swego jedynaka, powiedzieć można tu to samo, co lord Byron o donnie Inezie, zamieniając tylko Juan na Gabrys.

— „ she
Resolved that Gabrys should be a paragon,
And worthy of the noblest pedigree”.

Szkoda—jeszcze raz powtarzam—wielka szkoda,

iż ten Don-Juan napisany został pierwiej jak Wrzecziono!... Byłbym się wślawił wiernością kopii i natury. A tak, gdybym się wdał w szczegóły wychowania naszego bohatera, byłaby to już kopja z kopii, która im by była wierniejsza, tem by mi większą reputacyę plagiatora — czyli złodzieja — zrobiła.

A zatem, nic mi innego nie pozostaje, jak ciekawego charakteru pani X. czytelnika, odesłać do Don-Juana — i poradzić mu, aby się dobrze zastanowił nad charakterem donny Inezy, charakterem, który pomimo że w odniesieniu do Hiszpanii był skreślonym, nie jest jednakże czysto-hiszpańskim, ale kosmopolitycznym. Trafia się on i nad brzegami Gwadalkwiwiru, gdzie pomarańcze i cytryny rosną, a ludzie daktylami się karmią, i nad brzegami naszych rzek, gdzie pomarańcze, cytryny i daktyle znane są tylko wielkim panom, a większość ludzi ma strusie żołądki, bo trawi chleb czarny — czarny dla tego że zawiera w sobie ogromny procent ziemi, która, jako pożywienie jest tylko strusiom i polskim chłopom możliwą. Filantropowie ten chleb zachwalają i zalecają, jako bardzo zdrowy. Poeci często o nim w czułych zwrotkach czynią wzmianki. Moraliści z niego zdrowie duszy wynioskowują. Na to odpowiedziećby — zdaje się — można:

— „Wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę”...

Ja zaś wspominam o tem dla tego tylko, aby po-

wiedzieć: że ani pani X. na czarnym chlebie była wychowaną, ani jedynaka swego nim nie hodowała.

Wracam do podobieństwa pomiędzy panią X. i donną Inezą—i pytam: z kąd się ono wzięło?.....

Przychodzi mi na myśl czytana niegdyś (bardzo dawno—tak dawno, że nie pamiętam ani w jakim języku ani przez kogo napisana) rozmowa wierszami pomiędzy człowiekiem a wroną. Wrona obleciała spory kawał świata,—była za górami, lasami i morzami—i za powrotem do gniazdowych swoich stron, dziwne dziwa opowiada człowiekowi, który nie ruszał się z miejsca swego urodzenia. Człowiek słucha ją z ciekawością domatorom właściwą, i po każdym ustępie zapytuje:

— Nu, a ludzie?...

— Ludzie—odpowiada wrona—wszędziejednacy.

— Wrony?...

— Takie... tak jak ludzic...

Tego nie przyjmuję, jako absolutnej prawdy, a to przez wzgląd: na fizyologiczny wpływ pokarmów, na fizyczny klimatu i topograficznego położenia, na moralny różnych okoliczności. Ciekawym, co by się stało z Hiszpanem, gdyby go raptem—na czarodziejskim np. płaszczu lub łopacie więdźmy—przerzucić do nas i razowym chlebem obkarmić!.. Ciekawym, co by się stało z Polakiem (nb. chłopem), gdyby go w ten sam sposób przenieść do Hiszpanii i daktyłami utraktować!..

„*Nota bene*,” w nawiasie, całą rzecz tłómaczy. *Nota bene* chłopem. Chłopi się różnią. W sferze pracowitej innym jest Hiszpan, innym Polak. Po-

dróżyjąca wrona zapewne nie raczyła zwracać uwagi na te niziny społeczeństwa ludzkiego. Arystokratka — przypatrywała się wyższym sferom, a w tych, rzeczywiście wrony i ludzie zbiegają się w kosmopolitycznem podobieństwie pojęć, wyobrażeń, przekonań i gustów. Byronowa donna Ineza i nasza pani X. jednakowo zapatrywały się na swoich jedynaków i jednakowo do ich wychowania się brały, — tylko nie jednakowemi rozporządzały środkami... Z tej przyczyny nie można było o Gabrysiu powiedzieć:

— „...*half his days were pass'd at church, the other
Between his tutors, confessor, and mother*”.

Bo zmieniły się czasy a z czasami zwyczaje. Co było dobrem w epoce donny Inezy, to już nie zbyt koniecznem okazało się w epoce pani X. Pierwszej, punktem wychodnim macierzyńskiej troskliwości był wzgląd na duszne syna zbawienie. U pani X. było to na drugim planie, a na pierwszym — zabawienie.

Może i miała ona rację. Na tym płaczu padole tyle goryczy, że nie można brać jej za złe, jeżeli dziecku swemu pragnęła życie osłodzić. Była bowiem matką kochającą i starała się urządzić wszystko tak, aby jej Gabryś w przyszłości, nie tylko z żadnem niebezpieczeństwem, ale nawet z żadną nie spotkał się przykrością.

W tem głównie zachodziła różnica pomiędzy nią a donną Inezą. Ta ostatnia miała na myśli, że w żyłach jej syna płynię krew hidalgów: że przeto,

w razie gdyby król szedł na wojnę, jej syn powinien mu towarzyszyć, i dla tego uczył się konnej jazdy, fechtunków, artyleryi i sztuki zdobywania fortec i klasztorów. Pani X. miała na myśli, że jej jedynak ma sześćset dusz, przynoszących czystego dochodu sześć tysięcy rubli, będących w stanie zabezpieczyć mu wygodne na całe życie próżnowanie. Próżnować, było, podług niej, obowiązkiem szlachcica, tak jak obowiązkiem hidalga było, iść z królem na wojnę. „*Noblesse oblige*” w mniemaniu pani X. znaczyło: nic nie robić. Znaczyło to prawie tyle co: poświęcać się,—bo nic nierobienie jest samo z siebie ofiarą, trudną do wykonania. Więc bacząc na to, pani X. chodziło o osłodzenie tej ofiary synowi.

Z tego poszło kształcenie jedynaka w ten sposób, aby mu dostarczyć środków do bawienia się.

Przez zabawę do wielkości!—takim było hasło, jakie w wychowaniu jedynaka obrała sobie pani X.

— Dla czego do wielkości?...—zapytacie.

— Dla tego, że to mu się należało...—odpowiedziałyby pani X. Była bowiem tego świętego, a w świętości naiwnego przekonania, że dla Gabrysia, dla tego już samego iż w liczbie przodków jego, tak po mieczu jak i po kądzieli, byli wojewodowie, kasztelanowie, kanclerze, hetmani i arcybiskupi, nie było za wysokich progów, nie było dostojęstwa niedostępnego. Zdawało się jej, że, gdyby raczył po jakie stanowisko sięgnąć, to każdemu stanowisku, jakim by ono nie było, zrobiłby niepo-

spolity zaszczyt. Pod tym więc względem była zupełnie spokojną.

— Zechce się—mówiła—Gabrysiowi wzniesć, to się wzniesie; a nie zechce się, to dość dla niego że jest X.

Była więc—jak powiadano—pod tym względem spokojną i cały jej kłopot zależał na: chronieniu syna od *głupstw*.

Wielkimi literami napisałem wyraz „*głupstw*”, dla tego aby zwrócić nań uwagę czytelnika.

Ksiądz biskup Krasicki zajmował się w swoim czasie *głupstwem*:

— „Mości księże kanoniku,
Głupstw na świecie jest bez liku,
Dobrze jednak rzecz oznaczyć,
I, co *głupstwo*, wytłumaczyć”.

I ksiądz biskup doszedł do tego, że *głupim* jest ten co daje, mądrym zaś ten co bierze.

Pani X. na odwrót snadź to rozumiała: chodziło jej bowiem o to, aby Gabrys nie „*nabrał się* (wyrażenie techniczne) niepotrzebnych rzeczy” takich co (mówię od siebie) człowieka podnoszą, uszlachetniają i kształcą.

— Na co mu się to (*głupstwo*) zdało!...—mawiała.—Ot, ma przed oczami przykład ojca...

Gabrys, paniczyk, pieszczony i hołubiony, otoczony został guwernerami, pomiędzy którymi byli sami cudzoziemcy. Do swoich miała X. wstąpić, z dwóch pochodzący powodów: *najprzód*, obawiała się aby, pomimo jej dozoru, nie przekradli sposo-

bem kontrabandy *głupstw* do serca i głowy jej syna; *powtórę*, nie mogła się żadną miarą przekonać, aby Polak był w stanie być tak rozumnym jak Francuz, Niemiec, Anglik, Włoch. Przeciwne zdanie uważała za gatunek przesadności.

— Miałabym dziecko moje czynić ofiarą przesadów!... Dziękuję!...

Była wyższą nad przesady, miała ona jak najlepszą wolę, na paragona wykierować swego jedynaka, i dla tego wypisała dla niego guwernerów: do francuzkiego języka—Francuza, rodem z Paryża, do niemieckiego—Niemca rodem z Drezna, do angielskiego—Anglika, rodem z Londynu, i do włoskiego—Włocha, rodem z Florencyi. O języki, chodziło jej przedewszystkiem, a to dla tej ważnej przyczyny, że roiła sobie: jakto Gabrys, kiedyś, znalazłszy się w wytwornem wielkiego świata towarzystwie, potrafi wszystkiemi rozmówić się językami. To rojenie do łez ją rozczulało. Z góry, macierzyńską jej pierś rozpieierała duma. Z góry mówiła sobie:

— Co za chluba dla matki, takiego mieć syna!...

Guwernerowie ułożyli się z panią X., najprzód o pensję, potem o program nauk.

Płaca każdego z nich wynosiła po 200 dukatów rocznie, co czyniło 800 dukatów czyli 2,400 rubli srebrnych umniejszenia w dochodach Orkiszówki, Bobowic, Notrenki, Hałalijówki i parę pomniejszych folwarków, stanowiących majątek naszego bohatera. Było to wiele, ale jako ofiara dla syna, nadzwyczajny ten wydatek nie wydał się pani X.

za wielkim: Ona podjęłaby się chętnie płacić za Gabrysia kroplami krwi własnej, gdyby pieniędzy nie stało, a krew dała się na dukaty zamienić.

Program nauk dałby się właściwiej nazwać: rozszarpaniem edukacyi na czworo. Uczone gremium przystępując do edukacyi, długo nad tem medytowało: co z tym fantem zrobić?... Francuz miał metodę swoją, Anglik swoją, Niemiec swoją a Włoch swoją. Każdy obstawał przy swoim i o ustąpieniu koledze ani myślał. Każdy swoją metodę przedstawił pani X. i ona w żadnej nic do zganiaenia ani do zaprzeczenia nie znalazła. Każdy w końcu przystąpił do niej z następującym projektem:

— Niech pani oddali trzech moich kolegów i powierzy syna wyłącznie opiece mojej, zwiększywszy mi pensję w czwórnasób... Ręcę, że z rąk moich wyjdzie doskonałym człowiekiem...

Pani X. nie chciała na to przystać, a to dla tej przyczyny, że jej wielce chodziło o pronuncjacyą. Sama więc wzięła się do rozwiązania programowej zagadki i rozwiązała ją w taki sam sposób, w jaki u starożytnych Greków urządzonem było naczelnictwo nad wojskiem, powierzone kilku razem wodzom, dowodzącym kolejno—co dnia inny. Guwernerowie rozebrali pomiędzy siebie dnię. Jednego dnia nauczycielował Francuz, drugiego Anglik, trzeciego Niemiec, czwartego Włoch. Granicami kolei był tydzień, — a że tydzień liczy dni siedem, przeto, dla nienadwreżenia porządku i nieuchybnia któremu z guwernerów, trzy dni zostawionemi były Gabrysiowi na rekreacyę, z wyjątkiem popo-

ładnia w piątek, w którym zjeżdżał z pobliskiego parafialnego miasteczka ksiądz proboszcz na naukę religii.

Takie rozporządzenie wielce zadowolniło panią X. Jedynak jej, w ogniu edukacyi, mienił się jak kameleon. W poniedziałek był Francuzem, we wtorek Anglikiem, we czwartek Niemcem, w sobotę Włochem. Piątek te rozstrzelone promienie zbierał w jedno wspólne ognisko katechizmowego kosmopolityzmu, mającego tę jedynie najlepszą stronę, że się w miejscowym wykladał języku, co, dodane do konieczności porozumienia się ze służącymi, sprawiło—że bohater nasz nie zapomniał po polsku.

Ale, tylko nie zapomniał. Francuz, obok języka, wykladał mu historję i literaturę francuzką, sposobem anegdotycznym. Anglik podjął się przejść z nim Adama Smitha od początku do końca. Niemiec wziął na siebie wykład filozofii. Włoch zobowiązał się nauczyć go muzyki i śpiewu. Każdy z nich, tak wziął się do nauki, jakby specjalny przedmiot wykładu był edukacyjnym zenitem, ponad którym wyższego i podobniejszego nie ma i być nie może—a wziął się szczerze, z zapałem, do szczerości i zapału podniecię znajdując w emulacyi. Wszystkim im bowiem razem i każdemu z osobna, chodziło o przeprowadzenie odrzuconego przez panią X. projektu. Chodziło — rozumie się — póty, póki przeprowadzenie wydawało się możliwem. Gdy zaś możliwość upadła, zapał ostygł a historia i literatura francuzka, polityczna ekonomia, filozofia, muzyka i śpiew, zmieniły się na gruszki na

wierzbie. Wypadło tak: obiecanka cacanka a głupiemu radość. Pani X. radowała się spodziewanym syna rozumem, który obrócił się koniec końcem w nic. Guwernerowie jednakże wyszli z honorem, bo na usprawiedliwienie swoje mieli bardzo dobre tłumaczenie. Najprzód: pani X. odrzuciła programowy ich projekt: więc, jeżeli Gabrysń nie umie, to nie oni temu winni, ale sama matka. Powtóre: jak było brać się do historii, literatury, politycznej ekonomii, muzyki i śpiewów, kiedy elew nie umiał czytać i pisać!... Oni nie podejmowali się elementarnego bakałarstwa. W tem znów nie oni byli winni, ale sama matka. Czemu nie powierzyła im syna dostatecznie przysposobionego?...

Przejście guwernerów przez orkiszowski dwór, podobnem było w części do owych przejść, którym przed laty kraj ze strony Tatarów uległ. Przeszli—pozostawiając po sobie spustoszenie i to tak materialne jak i moralne.

Nie dość bowiem, że na pensye dla nich szło 2,400 rubli. Drugie tyle wynosiły koszta utrzymania guwernerów i prowadzenia edukacyi. Cudzoziemcy kaprysili. Pomimo że orkiszowski dom był dostatni i we wszystko zaopatrzony, było im niewygodnie. Nicustannie coś im brakło i czegoś to z Paryża to z Londynu, to z Berlina, to z Florencyi potrzebowali. Francuz np. nie mógł się obejść bez wetów i to koniecznie francuzkich, bez wina i to nie innego tylko, *Chateau Lafitte* a przynajmniej *Chateau Margaux* przy stole i jedno z tych *Sillery eremant*, *Tintilla di Rota* albo *Xeres* przy

deserze, z dodatkiem bądź *Chartreuse*, bądź *Marscin de Zara*, bądź zresztą *Curaçao* albo coś podobnego, byle starego i wytrawnego po czarnej z koniakiem kawie. Porachowawszy to wszystko wypadło, że same wety, wina i likiery dla samego tylko Francuza, pochłaniały parę dukatów dziennie. Cóż, gdy do tego dodamy porter, *ale* i ostrygi, bez których Anglik wyżyć by nie mógł, wina, zieleninki i owoce włoskie dla Włocha sprowadzone; strudle, strucliki i piwa, któremi karmić i pić było potrzeba niemieckiego filozofa!... Dochód z majątku szedł całkowicie na same wymysły ludzi, którzy, pozbywszy się emulacyi w zakresie edukacyjnym, emulowali w wymogach i kapryсах.

Nadto, sama edukacya — samo przeprowadzenie nauk—ogromne pociągało za sobą koszta. Wydatki na książki, różne narzędzia i instrumenta, wynosiły mało że nie tyle, co roczne honorarya guwernerów, z których każdy trzymał po kilka gazet i czasopismów, niepotrzebnych dla elewa, ale dobrych do zabicia czasu dla guwernerów, którzy bez nich na śmierć by się w Orkiszówce zanudzili, mając niby zajęcie raz tylko na tydzień, a resztę czasu do dowolnego rozporządzenia.

II.

Koniec końcem, żeby czytelnika nie nudzić, krótko mu powiem, że bohater nasz niczego się nie nauczył—do tego stopnia niczego, że po ośmiu leciech domowej edukacji, pomimo dozoru matczynego, pomimo doskonałości i oryginalnej cudzoziemskości nauczycieli, języki nawet obce, o które chodziło najbardziej, pozostały mu obcemi. Pochwytał coś, to z tego to z owego, ale żadnym nie był w stanie się rozmówić, żadnym nie czytał a tem mniej pisał. O jeografii, historii powszechnej, matematyce, naukach naturalnych, najmniejszego nie miał wyobrażenia: te bowiem nie wchodziły do programu. Poza obrębem programu jedno tylko skorzystał. Od *monsieur* Pierrot i od *signora* Sartyni nauczył się—romansować—nie z wykładów jednakże, a z przykładów.

Monsieur Pierrot, jak tylko stanął na orkiszowskim gruncie, natychmiast zreknognoskował terren. Chodziło mu o to:

— *Y a t-il du gibier?*...

Po kilkutygodniowem rozglądaniu, zaglądaniu, podglądaniu i oglądaniu, doszedł do tej wiadomości, że orkiszowiecką zwierzynę na kilka rozklassy-

fikował gatunków. Do pierwszego zaliczył jedną tylko sztukę, a to była: sama pani. Jeszcze nie stara, wcale nie szpetna i bogata, była ona grubą zwierzyną, w polowaniu na którą trzeba było używać wszystkich znanych i w tego rodzaju łowienia używanych podstępów i ostrożności. Po niej szły panny respektowe, przezywane przez niego gołębicami i odaliskami. Prędko francuzkim sprytem poznał, że są to stworzenia łaskawe, usposobione nie tylko do cerowania, haftowania i prasowania, ale i do ronienia i przyjmowania westchnienia, do gruchania, szczerzenia zębów i rojenia o rozlicznych nadzwyczajnościach. Dalej następowały wieśniaczki, dzikie kuropatwy, płochliwe ale ciekawe i będące nie od tego, aby na wabika nęcić się nie dały. Te, bosso, w zapaskach i koszulkach, wydały się mu zrazu podobnymi do Hotentotek, Irokieziańek lub przynajmniej mieszkanek Laplandyi. Przyglądając się im jednakże coraz lepiej i coraz bliżej, dostrzegał w nich wdzięki takie, które mu przypominały mitologicznych bogiń posągowane postacie. Dostrzegał w nich coś kamiennego, marmurowego—nie białego wprawdzie, ale zato wielce jędrnego, co mu o białości zapomnieć kazało.

I we wszystkich na raz sferach rozpoczął łowy. I zamarzył o sukcesach, o których, jako paryżanin, nie wątpił.

Francuzi, a zwłaszcza Paryżanie, na miłość w ogólności z materyjalnej tylko, ze zwierzęcej, zapatrują się strony. Nie jest w tym względzie bez wyjątków; powszechnie jednakże bawią się w ko-

chanie, niby w jakiś rodzaj gry towarzyskiej, w której nadewszystko chodzi o zachowanie przyzwoitego *decorum*. Z tego źródła wypływa francuzka szarmanterya. Francuz nastawia się, uśmiecha, oblizuje, układa oczy i usta, sypie komplementa— a wszystko to, *pour la bonne aventure*. Mizdrzy się do każdej niewiasty—starej i młodej, ładnej i brzydkiej, zamężnej i niezamężnej — bo w nim głównie gra krew, a estetyczne poczucie i moralny pociąg, podrzędne zajmuje miejsce.

Nasz monsieur Pierrot był prawdziwym Francuzem i prawdziwym Paryżaninem, nie mającym najmniejszej pretensyi należenia do wyjątków. Posunął do pani X.—nie powiodło się mu. Nie zraził się tem. Zawsze był dla niej grzecznym, nadskakującym, zawsze słodko się do niej uśmiechał, nawet zawsze wzdychał, szczególnie po obiedzie; a obok tego pociskami kupidyna sypnął na panny Katarzyny, Marianny, Julki etc. i na Paraski, Pryski, Frazynki, Uliany etc., które zrazu miały go za pewien gatunek małpy, ale powoli oswoiły się z nim i ujęte jego kokam, posażuj, serse, pozwoliły mu do siebie bliżej przystąpić. Monsieur Pierrot kochał się w pani X., kochał się w pannie Katarzynie, w pannie Mariannie, kochał się w pani komisarzowej, ekonomowej i leśniczynie; kochał się w ich córkach i kucharkach i we wszystkich wiejskich dziewczętach — i wynikiem tej profuzyi kochania było kilka zupełnych powodzeń.

Powodzenia te, jak niegdyś Temistokłowi laury Milciadesa, nie dały spać *signor'owi* Sartyni. Nie

umiał on, tak jak *monsieur* Pierrot brać się do kochania. Był niezgrabny, pomimo że bardzo zgrabnie, udrapowany w płaszcz bandycki, pozował, pomimo że bardzo sentymentalnie patrzył i oczy zawracał, pomimo że włosy nosił jak Rafael, wąsy jak Michał Anioł, brodę jak Torquato Tasso. Orkiszowieckie piękności nie umiały się na tem wszystkim poznać. Na pozowanie, draperye i sentymentalność patrzyły się jak owce na gwiazdy. O Rafaelu, Michale Aniele i Tassie nic a nic nie słyszały. Szło więc signorowi Sartini źle przez całych lat ośm, chociaż przez cały ten czas nie przestawał pozować, drapować się, sentymentalizować, refaelizować etc.—wzdychać do pięknej Italii, a raczej do italskich miast, do miejskich ulic i do wpółotwartych i wpół żaluzjami przysłoniętych nad ulicami okien. Nie bez tego jednakże, żeby i jemu nie upiekła się jakaś gratka.

Niemiec i Anglik, pod tym względem, byli przeciwieństwem Francuza i Włocha — dla tego zapewne, że pierwszy był stary a drugi ekscentryczny. Jeden po uszy zagrzebał się w *Allgemeine Zeitung* i pod inspiracyą tej gazety pisał pamiętniki, drugi bawił się w zamyslenie i roztargnienie. Oni przeto taki na elewa wywierali wpływ, że się z nich śmiał, a zapatrywał się na Francuza i Włocha—i bardzo wczesnie, bo w dwunastym roku swego życia, podpatrzył ich słabości i stał się ich spółzawodnikiem.

Guwernerowie okrutnie panią X. męczyli. Ko-

chającą jednakże będąc matką, znosiła ich kaprysy, zaliczając te sobie na karb zasługi, która tam—kiedyś—miała jej być wynagrodzoną. Kto miał nadgrodeń wymierzyć? — o to się nie pyta. Ze wszystkiego jednakże pokazało się, że liczyła na wdzięczność syna, a to tem pewniej, że najpewniejszą była wypełnienia względem niego macierzyńskich obowiązków.

Gabrys skończywszy piętnaście lat, skończył nauki. Niczego się nieuczył, ale nauki skończył, dla tego głównie powodu, że uczyć się nie chciał. Pani X. odprawiła guwernerów—i pozbywszy się tej cudzoziemskiej załogi, z głębi piersi odetchnęła, jakby jej wielki jaki ciężar z serca spadł. Za to pozbycie się wdzięczną była synowi — czyli, innemi wyraziwszy się słowami, wdzięczną mu była, że nie chciał się uczyć, i w tem niechceni upatrywała dowód rozumu i przywiązania do siebie.

Gabrys pozostał sam z matką, która uznała go pełnoletnim i oddała mu w zarząd majątek. Bohater nasz od deklinacyi i konjugacyi, z któremi na próżno przez ośm lat się łamał, od historyi, politycznej ekonomii i filozofii, które przechodziły mu przez głowę jak woda przez rzeszoto, nie umiając po polsku dobrze czytać ani poprawnie pisać, nie mając najmniejszego wyobrażenia o obowiązkach człowieka w społeczeństwie, od razu wyszedł na skończonego człowieka, wyemancypował się i chociaż jeszcze nie *de jure* ale już *de facto* stanął jako obywatel, biorąc obywatelskość, w tem znaczeniu, jakie mu u nas nadają. To jest: wystąpił, jako czło-

wiek, opatrzony w przywileje i zamożny w środki, dające mu wolę czynienia źle lub dobrze, dające mu możność przodowania w społeczeństwie.

Taki smarkacz, w takie środki i możność ustrojony i tak do użycia ich przysposobiony, nie mógł złego nie zrobić z nich użytku. Gdyby nie zrobił, musiałby być szczególniejszą łaską Bożą natchniony—musiałby być chyba Bożym wybranym. Gabrys nim nie był. Stworzył go Pan Bóg jak każdego śmiertelnika — z równymi do dobrego i złego skłonnościami, które należało stosownie pokierować, i z wolną wolą, która z pokierowania wyciągnąć miała dla siebie i dla drugich korzyść. Przysięgł, obdarzył go bardzo dobrym sercem—nie nadzwyczajnie jednakże dobrem, bo takim samym obdarzał i obdarza nas wszystkich mających to do siebie, że zazwyczaj serce i głowa znajdują się w dysharmonii, niby dwa fałszywie nastrojone instrumenta. Pod tym więc względem, bohater nasz nieodrodził się, pomimo że cudzoziemskie w Orkiszówce otrzymał wychowanie i pomimo że po polsku pisać nie umiał. Gabrys najlepsze miał serce ale najgorszą głowę.

Emancypacya zaprowadziła go najprzód do stajni. W tem także nasza objawiła się natura. Ciągnęło go do koni: — więc, jak tylko nudne, książkowe ustąpiły przeszkody, poskoczył do koni i dalejże dobierać czwórki do maści, wzrostu i temperamentu. To, z konieczności rzeczy, pociągnęło go na jarmarki. Dobranie czwórki stało się dla niego czemesz na kształt kamienia filozoficznego, którego

odszukaniu nie jeden w dawnych czasach uczony całe życie poświęcił. Za czwórka popędził Gabrys po świecie—po Berdyczowach, Bałtach, Jarmolińcach—i szukając jej, poodzukiwał różne rzeczy, do przepędzenia czasu i uprzyjemnienia życia służące. Znalazł poczciwych koleżków, zachwycających się nim jako dziedzicem Orkiszówki z przyległościami. Znalazł łaskawe koleżanki, otwartemi przyjmujące go ramiony. Znalazł przyjaźń, szacunek, przywiązanie, miłość — wszystko co tylko ku zaspokojeniu duszy i serca służyć może, i to z powodu że był Orkiszowskim dziedzicem. Nad powodem jednakże nie zastanawiał się—nie miał czasu zastanawiać się—a przyjaźń, szacunek, przywiązanie i miłość przyjmował, płacąc za nie w gotówce pieniędzmi, zdrowiem i rozumem, które hojnie a od niechcienia sypał. A sypiąc nie oglądał się na nic—nie pomyślał że Orkiszówka nie jest i być nie może niewyczerpanem źródłem

Pani X. ujrzała się raptem osamotnioną. Gabrys tak się zaciekał, że zapomniał o matce, która powoli, powoli, została niby bawiącą we własnym domu. Gabrys roztasował się w całym domu, zostawiając matce, jakby z łaski, parę pokojów z których ona wyjść mogła tylko w nieobecności syna, bo podczas jego obecności napełniali je różni panowie, rozkochani w Gabrysiu, rozwalający się po kanapach, otaczający się obłokami fajczanego dymu, chodzący bez halsztuków, surdutów, kamizelek, a czasem i tych części odzieży męskiej, której nie wymieniam przez wzgląd na czytelniczki. Pa-

ni X. widywała ich przez okno, na podwórzu, kiedy z fajkami w ustach oglądali konie. Miny ich przerażały ją—miny gęste, zawiesiste, zamaszyste, wąsate, gębate. Widząc pomiędzy nimi Gabrysia, przychodził jej na myśl los Akteona, którego psy rozszarpały i pożarły. Rozumie się, że w myśli jej, rola Akteona dostawała się Gabrysiowi, a rola psów jego towarzyszom. Z tego powodu postanowiła syna ostrzedz.

Wykonanie chwalebnego tego postanowienia okazało się trudniejszym jak się zdawać mogło— a, co nierównie gorzej, okazało się... za późnem. Pani X. wezwała raz syna do siebie i wypaliła mu moralną naukę, której nawet skończyć nie mogła, bo Gabrys się ofuknął:

— Cóż to!... mama, jak widzę, morałami mnie chce karmić?...

— Nie, moje dziecko... ja cię tylko uważnym robię na następstwa towarzystwa jakie cię otacza...

— Towarzystwa?... — przerwał Gabrys. — Cóż to!... czyż ja mam zarzec się żyć z ludźmi!... czyż mam się zakopać w Orkiszówce!... Czegoż mama odemnie chce!...

Zasępił się i naburmusił. Co widząc pani X. zmieniła raptem ton. Z moralizującej stała się przepraszającą.

— Nie bierz, moje dziecko, zbyt żywo moich słów do serca... Ja matka... Ja ciebie kocham i dla tego obawiam się o ciebie... Nie wiem z kim się wdajesz i dla tego zrobiłam cię uważnym... chciałam cię ostrzedz...

— Otóż to, że mama nie wie!...—pochwycił Gabryś.—To niechże mama nie ostrzega....

— No, no... — odparła pani X.

I w oczach jej zakręciły się łzy. Chciała coś mówić, nie mogła—i do syna ręce wyciągnęła.

Ten obrót rozmowy rozczył Gabryś. Usiadł obok matki i w rękę ją pocałował. Ona przychyliła go do piersi.

— Ty u mnie jedyne dziecko—głosem łez pełnym mówiła.—Ja ciebie kocham nad własne życie, nad wszystko... Ja nie chciałam ciebie zmartwić.

— O cóż mamie chodzi?... odpowiedział Gabryś. Lubię konie i bawię się...

— Baw się, moje dziecko... wszczęła pani X. z westchnieniem.

— Lubię konie, i teraz oto właśnie chcę sobie koniecznie dobrać czwórkę bułańców z białymi grzywami i ogonami. Dobrałem już trzy: żeby to mama wiedziała, jakie!... Po cztery na piąty, piętnastej miary a wszystkie jak jeden; tylko że jeden trochę za gorący, ale to nic: chcę go dać w lic.... Gdyby mi się tylko udało dostać czwartego u Bałabońskiego... Ma szelma takiego, co jakby się do mego licowego urodził; ale wie, że potrzebuję i widzi że m się zapalił, to się trzyma... Właśnie dobi-jałem targu, kiedy mnie mama zawołała... Myśla-łem, że diabli wiedzą jaki ważny interes ma mama do mnie.—A to.... o....

To rzekłszy, wstał z oznakami niecierpliwości

— Idź, moje dziecko.... baw się.... — rzekła

matka za odchodzącym, westchnęła i głową pokiwała.

Gabrysiowi było spieszno do towarzystwa, składającego się z tuzina młodych ludzi, pomiędzy którymi starszego nad lat trzydzieści nie było, wyjąwszy Stasia, liczącego przeszło czterdzieści, ale pomimo to, pomiędzy młodymi młodego. Gdy Gabrys powrócił, towarzysze jego ugrupowani byli w następujący sposób: przy dwóch stolikach siedziało ośmiu, zatopionych w preferansowych medytacjach, a czterech stanowiło przypatrującą się, gadającą galerję. W pokoju było dymno i gorąco: z tego więc powodu, tak grający jak i niegrający rozebrani byli do koszuli. Do niegrających należał Staś, nazywający się na prawdę Eustachym Bała-bońskim, posiadacz bułańca z białą grzywą i białym ogonem, który tak był potrzebny do czwórki naszego bohatera.

Gabrys usiadł. Przy jednym stoliku odezwało się:

— Siedem bez atul...

przy drugim:

— Tref!...

przy obydwóch:

— Wist i proszę!...

Te odezwania się pokrył gruby głos Floryana Mewy:

— No!... uchwycilem przecie Stasia... Odstąpi ci bułańca...

— No?... — rzekł Gabrys, podchodząc do Bała-bońskiego.

— Dasz mu siwego ogierka, a on ci doda...

— Co?...

— Jedną z sióstr...

Na te słowa całe towarzystwo grzmotowym huknęło śmiechem, któremu i Staś zawtórował.

— Mówmy seryo...—odezwał się Gabrys.

— To bardzo seryo... odrzekł Mewa. — Słowem honoru ręczę, że Staś na taki układ przystanie. Kto ma taką porcyę sióstr, ten z gustem jedną w dodatku do konia by odstąpił...

— I nie w dodatku... ktoś się odezwał. — Myślę że Staś oddałby daremnie, byleby kto chciał wziąć.

— Daremnie?—nie—dodał inny.—Potargowałby się przynajmniej dla formy...

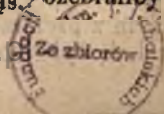
— Gdzie tam!...

Rozmowie tej towarzyszyły śmiechy. Preferansisci nawet zawiesili granie i wzięli w niej udział. Kpiono ze Stasia jak z dziurawego buta; ale że to kpienie nie wprost jego osoby, a osób jego sióstr się tyczyło, przeto nie czuł się obowiązany obrażać się. Przeciwnie, sam śmiał się i dopomagał

— Biedny Staś — mówiono — gdyby nie sześć sióstr, byłoby mu na świecie, jak pączkowi w masle... Horbaczki wystarczyłyby i na preferans i na coś jeszcze, a nawet mógłby się na diabełka i sztosika rezykować... Sześć sióstr, to dla niego sęk...

Gdybyście mi dobrze życzyli, to rozebralibyście je... odezwał się Staś, pokręcając wąż. rozebraliby

— Co dasz?... zapytał jeden.



— Jakto, co?... Jedną z sióstr, którą sobie wybierzesz....

— A z siostrą?

— Nic... Po przyjacielsku: z ręki w rękę....

— Dziękuję!....

— Kiedy tak—odezwał się Mewa, pośredniczący w zamianie bułańca na siwego ogiera—to moja propozycja upada... Bo, jak pokazuje, siostra Stasia nie warta kiedy jej darmo nie chcą wziąć: więc nie może iść jako dodatek do bułańca... Cofam tedy propozycję... Układajcie się sami, jak chcecie...

— Może ja ją przyjmę—rzekł Gabrys. — Zobaczymy...

— Złe byś na tem wyszedł — krzyknięto ze wszystkich stron na raz.

— Złe?... to moja strata... Przynajmniej skompletowałbym czwórkę...

— To lepiej, po przyjacielsku ci radzę — rzekł Mewa—mieniaj ogierka na bułańca, głowa na głowę chociaż ogierek dwa razy tyle wart co bułaniec.

— Czas płaci, czas traci — wsunął Staś. — Dla ciebie ogierek dwa razy tyle wart co bułaniec, bo ty bułańca nie potrzebujesz... I dla Gabrysia byłby wart dwa razy, gdyby nie czwórka, do której takiego konia ani w Bałcie ani w Berdyczewie nie dobierze.

Wszczęła się długa rozmowa o bułańcu i o innych koniach, która się późno w nocy przeciągnęła i byłaby się jeszcze nie skończyła, gdyby przy jednym z preferansowych stolików nie zaimprovizował się był sztos, który powstał z niczego. Jeden

z wygranych nie miał drobnych do zdania przegranemu reszty i zaproponował:

— Rozegramy się...

Chodziło o pięć złotych. Pierwotnie więc w banku było tylko pięć złotych; potem zrobiło się dziesięć; dalej dwadzieścia;— w towarzystwie rozbudziła się ochota i niechęcy zorganizował się sztosik, który potrwał aż do białego dnia.

Gabrys poniterował. Zachwycano się jego zimną krwią i doskonałym taktem, jakie w hazardowych grach okazywał. Przegrana i wygrana były mu zarówno obojętne. Grał nie dla zysku, a dla towarzystwa, albo raczej dla zabicia czasu, z którym nie wiedział co robić. Bawił się losem, sprawiającym mu wewnętrzne, lekkie emocje—lekkie dla tego że za plecami czuł Orkiszówkę, na konto której mógł śmiało i bezpiecznie na honorowe puszczać się hazardy.

Cały wieczór przeszedł na preferansie i najgłupszych w świecie gawędach, cała noc na sztosie.

Żał, zaiste brał, widząc taką dorodną młodzież, pędzącą czas jak coś niepotrzebnego, jak coś takiego, czego się chce jak najprędzej pozbyć. Dwunastu ich było, a żaden z nich nie wyrwał się z żadnym poważniejszym a przyzwoitszem słówkiem. Zdawało się, że są oni członkami tego stowarzyszenia Niemców, co to pod karą pieniężnego strofu wykluczyło najlżejszą o polityce wzmiankę; tylko że oni jeszcze dalej poszli, bo nie tylko o polityce, ale o niczem, co by zbudować lub nauczyć mogło, nie wspominali. Pleth/głupstwa g grali w karty,—

grali w karty i głupstwa pletli: a byli to wszystko tak zwani obywatele, urodzeni, przodownicy społeczeństwa wśród którego wzrosli i wychowali się, którego sokami żywili się, którego przyszłość w rękach swoich mieli. Byli to wszystko wioskowi szlachcice, bliźsi i dalsi Gabrysia sąsiedzi. Był tam Ksawery, członek rozrodzonej rodziny, zkoligacony ze wszystkimi zamożniejszymi domami. Był Romek, exbałagula, potomek hetmański. Byli inni, o których przodkach Paprocki i Niesiecki z wielkim mówią szacunkiem. Był Mewa, używający reputacji dowcipnego, i Staś Bałaboński, z którego domowemi stosunkami bliżej wkrótce się zapoznamy.

Białym dniem poszła nasza młodzież spać. Obszerny orkiszowiecki dwór pomieścił ich wszystkich wygodnie, jednych na łózkach, drugich na sofach i kanapach. Żaden z nich nie rozbierał się sam. Silne chłopcy okazali się tak niedołącznymi, że nie mogli obejść się bez pomocy lokajów i kozaczków, przy ściąganiu surdutów, kamizelek, butów i szkarpetek.

— Otóż to nazywam dobrem czasu przepędzeniem — rzekł Mewa w łóżku, biorąc do ust fajkę, bez której zasnąć nie mógł. — Taka zaimprovizowana gierka bardzo mi się podobała... Wolę ją jak wielkie, kontraktowe gry...

— To znaczy, — ktoś się odezwał — że masz sie-lankowe gusta: bo co się mnie tyczy, to ja i od wielkiej gry nie uciekam...

— Któż o uciekaniu mówi — pochwycił Mewa. — Przecież na to nie zasłużyłem, ażebym o tchórz-

stwo był posądzonym... I ja nie uciekam od trzydniówek, ale to nie przeszkadza, że wolę takie domowe *sans-gene*, w którem się wszyscy znają i wszyscy sobie wzajemnie sprzyjają...

— To prawda — odezwało się parę ziewających głosów.

— A dodać potrzeba, że nigdzie się tak wybornie gra nie aranżuje, jak u poczciwego naszego Gabrysia...

— To prawda—powtórzyły te same głosy.

— Bo to—ciągnął Mewa, otaczając dymem wąsy i nos—w Orkiszówce jest się jak u siebie..

Tym razem, zamiast to prawda, odpowiedziało mu poczwórne czy potrójne chrapnięcie. Mewa, pociągnawszy jeszcze parę razy z cybucha, odwrócił się do ściany, naciągnął kołdrę na ramiona i zasnął.

Pochwały jego, tyczące się Gabrysia, były najzupełniej zasłużone. W dalszym rozwoju znaczyły one, że u Gabrysia można było wygrać, a przegrawszy tanim skwitować się kosztem, bo gołem słowem honoru. Gabrys bowiem ten miał zwyczaj, o jego dobrem sercu wymownie świadczący: że przegrywając gotówką płacił, wygrawszy, nigdy się nie upominał. Można więc było zostać dłużnikiem jego na czas nieograniczony i korzystać z przedawnienia, które honorowe długi w oceanie zapomnienia topiło. Tym sposobem i honor i kieszeń wychodziły bez szwanku. Takiego drugiego Gabrysia nie było w okolicy. Nie dziw więc, że posiadał on miłość i szacunek, nie tylko młodzieży

ale i wielu starszych, wyjąwszy tych, którym się *głupstwa* (wyraz techniczny) po głowach roiły, to jest, tych którzy sposób życia Gabryśia i jego towarzyszy nazywali zbrodnią przeciwko Duchowi Świętemu o pomstę do Boga wołającą. Ci małą stanowili ilość i uchodzili za takich którzy znani są powszechnie pod nazwą *farmazonów*, ludzi bez czci i wiary, waryatów, półgłówków, zazdrośników etc. O tych Gabryś nie dbał, a nawet bardzo mało wiedział. Wiedzieli o nich trochę więcej jego towarzysze i w pogadankach przedstawiali mu ich zawsze, albo z niehonorowej, albo ze śmiesznej strony, tak że on do poważniejszego jakiegos na świat, na życie i na powinności swoje spojrzenia, obawiając się narazić bądź na niehonorowość, bądź na śmieszność, nieprzezwyjęzonego nabrał wstrętu. Pomimo to jednakże nie złym był chłopcem—dobry miał grunt, tylko na tym gruncie zły zrobiono zasiew. Popsuto go. Popsuła go najprzód matka, która skrzywiła jego wychowanie, a potem towarzystwo, któremu całem oddał się sercem, a oddał się w najlepszej wierze, będąc tego przekonania, że inaczej żyć na świecie, jest to, nie żyć a wegetować, jest to źle używać czasu i środków.

III.

Kto późno spać idzie, ten późno musi wstawać. Nasi panowie poszli spać po wschodzie słońca; powstali więc, kiedy słońce zrobiło już trzy ćwierci swojej dziennej drogi, to jest, kiedy już miało się ku zachodowi. Najpierwszy obudził się pan Mewa. Odchrząknął, splunął i zawołał:

— Hej!... jest tam kto?...

Wołanie to dwa miało skutki. Sprowadziło kozaczka z nałożoną fajką i rozbudziło innych panów.

Rozpoczęły się chrząkania, wyciągania i ziewania panów i kręcenie się lokai i lokajczyków, koczaków i kozaczków, bo każdy z panów miał swego osobnego służącego. Wstawanie nie nastąpiło natychmiast. Nikomu nie było spiesзно, a każdemu chciało się—jeszcze poleżeć. Więc leżeli i gawędzili.

Gospodarz z obowiązku zapytał:

— Jakże się wam spało?

— Hej.... ha.... a!.... — odpowiedział Ksawery ziewając i wyciągając się. — Doskona..... ha!..... ale...,

— Po ziewaniu Ksawerego sądząc można zmiarkować, jak mu się spać musiało... — ktoś wsunął. —

Ziewanie oznacza żal za snem.... Gdy się więc tego ziewa, to znaczy, że się dobrze spało....

— To może by mu się spało jeszcze?... — zapytał Gabrys.

— A!... — odparł Ksawery, zrywając się i siadając na łóżku, i krzyknął:

— Stasiu!...

Staś, jeden pomiędzy wszystkimi, pogrążony był jeszcze we śnie. Okrzyk jednakże Ksawerego rozbudził go.

— Co ci się śniło?... —

Rozbudzony krzykiem, odpowiedział ziewnięciem.

— Co ci się śniło?... — zapytał Mewa. — Zobaczymy, czy to prawda, że sen jest wróżbą.... Ma się rozstrzygnąć sprawa o bułańca: więc.... no!.... gadaj, co ci się śniło...

— Śniło mi się... odpowiedział zagadnięty — że Gabrys dał mi za bułańca siwego ogierka i w dodatku Sokoła....

— Cha cha cha!... — odparł Mewa. — To źle... To znaczy, że i bułańca stracisz i nic nie dostaniesz....

— Sprawdziło się!.... — ktoś zawołał. — Staś coś przegrał do Gabrysia i nie zapłacił, to Gabrys ma prawo zagrabić mu bułańca....

— Ile przegrał?... —

— Sto kilkadziesiąt rubli.... —

— Oho!... to bułańiec pójdzie.... bułańiec i połowy tego nie wart....

— Ależ ja bułańca na karty nie stawiałem.... — tłumaczył się Staś.

— Cóż stawiałeś?....

— Gotówkę.... pieniądze...

Kilka gardł zagrzmiały w chór śmiechem, a Mewa mówił.

— Stasieczku!.... nie fanfaronuj.... Tobie gotówka jest rzeczą nieznaną... Widujesz ją u innych, ale nie u siebie.... Ciebie papa dobrodziej trzyma w kurateli, pomimo że sam od dawna mógłbyś już być papą.... Tobie pieniędzy do rąk nia dają i dobrze robią: bo byś stracił i twoje sześć siostr nie miały by w czem chodzić...

Stasia uraziła ta przymówka. Urazy nie czuł, kiedy z sióstr jego pokpiwano: uczuł ją, gdy mu małość wypomniano.

— Mam gotówkę!.... — krzyknął.

— Pokaż....

Sięgnął pod poduszkę i wydobył sakiewkę, z której na dłoń sobie kilka peców i kilkanaście srebrnych sztuk wysypał....

— To wczorajsze wygrane.... — rzekł Mewa. — Zaręczam, że na pierwszą stawkę postawiłeś gołe słowa honoru.... Wygrywałeś i przegrywałeś.... Wygrane chowałeś do sakiewki a przegrane puściłeś na delatę....

— Spekulant!... ho!... Staś spekulant!.... — ktoś się odezwał. — Nie daremnie mu papa dobrodziej pieniędzy nie daje.... On umie wyspekulować.... Zrobił sobie kredyt przy zielonym stoliku, tylko nie przy każdym...

Staś się uśmiechał z miną tryumfującą.

— Na kredycie świat teraz stoi.... — rzekł Mewa sentencyjonalnie, otaczając się kłębamii dymu. — Ale to nie przeszkadza, aby Gabrys nie wziął u Stasia bułańca w długu....

— Ale... ba!... — odezwał się Ksawery. — Gdyby nawet Gabrysiowi nie brakło na ochocie zagrabienia bułańca, to nie mógłby tego zrobić....

— Czemu?....

— Dla bardzo prostej i naturalnej przyczyny..... Staś nie w ciemie bity.... Przewidując nieprzewidziany jakiś wypadek, zostawił bułańca w Horbaczkach pod domowych nimf opieką....

— Nie bułańcem przyjechał?....

— A, nie... On nie głupi, konia do którego się Gabrys zapalił, narażać na niepewne losy sztosika....

— Brawo, Staś!.... — zawołał Mewa. — Widzę w nim syna dziewiętnastego stulecia, umiającego prowadzić interesa.... Ale zrobimy mu figla....

— Jakiego?.... zapytano, gdy Mewa zwlekał wymienienie figla.

— Pojedźmy wszyscy do Horbaczek!... Zajazdem wyegzekwujmy należność Gabrysia....

— Zgoda!... — krzyknięto. — Stary Bałaboński złąknie się....

— Ale się nie złąkną panny Bałabońskie....

— Zgoda!... jedźmy!... — wołano — spieszmy się!...

I poczęli panowie powoli wstawać. Ich „spieszmy się“ bardzo było podobne do sławnego żydowskiego „zaraz,“ na które nieraz miesiącē i lata czekać potrzeba. Wstawali, ubierali się i rozma-

wiali — sadzili się na dowcip, pletli głupstwa, — potem pili herbaty i kawy, palili fajki, jedli, jedni chodzili, drudzy siedzieli, inni kładli się i palili fajki — i w końcu, przed wieczorem, wyruszyli na balkon a dalej na podwórze, gdzie stajenni Gabrysia kozacy wyprowadzali i reprezentowali konie. Przed stajnią zaś, w głębi podwórza, furmani zaprzęgali do kilku najtyczanek i koczyków, które gości Gabrysiowych przewieść miały z Orkiszówki do Horbaczek, a z nimi i Gabrysia.

Staś chciał ich uprzedzić. Chciał przodem pojechać i dać znać w domu o przybyciu licznego zgromadzenia. Nie pozwolono mu.

— Schowasz bułańca....

— Słowo honoru.... — tłumaczył się Staś. — Jak honor kocham... Honorem ręczę... Na honor się zaklinam, że bułańca nie schowam, a tylko dla was kwatery zamówię...

— Tra-la-la—odpowiedziano mu.—W Horbaczkach na kwaterach nie zostaniemy... Nawet koni wyprzęgać nie każemy...

— To byłoby krzywda dla...

— Żadna krzywda — przerwano mu. — Byłaby krzywda dla nas, gdybyśmy zostali...

— Jaka?...

— Taka, iżby nas panny Eulalia, Eufemia, Euzebia, Eugenja, Eufrozyna i Eudoksia posądziły o jakieś zamiary—odrzekł Mewa.

— Ale... no...—perswadował Staś.

— Wcale nie, ale... Bo sam że zważ... Jest nas dwunastu, a twoich siostr sześć... My nie żonaci

a one nie zameżne... Nam się żenić nie chce, a im iść za mąż chce się... Cóż przeto dziwnego, że one porobią na nas projekciki, i to każda przynajmniej na dwóch?... Żeby tego nie dopuścić, jedynym na to środkiem: przyjechać, zabrać bułańca i... co najprędzej zrejterować.

Staś nie miał co na to odpowiedzieć. Poczekał — a nie poczekać nie mógł, bo na cudzymjechał wózk — i wraz z innymi ruszył do rodzicielskiego domu. Najtyczanki i koczyki, zaprężone czwórkami w poręcz i wzdłuż i piątkami, ubranemi bądź po bałagulsku w szale i kantarki, bądź wykwintniej w lipskie lub krakowskie chomąty albo angielskie szory, obwieszane dzwoneczkami i brzękadełkami, zabiegały przed ganek jedna po drugiej i zabierały panów po jednemu lub po dwóch. Ostatnim pojazdem był elegancki poczwórny kocz, ciągniony przez cztery tęgie, w lekkie krakowskie chomonty ustrojone konie, z których trzy były bułane a czwarty siwy. Do tego koczka wsiadło trzech panów: Mewa, Staś, a na końcu nasz bohater. Furman rozwinął bat:

— Wio-ha-ho!...

Konie ruszyły. Ⓢ

— Koniecznie trzeba ci do tych trzech czwartego—rzekł Mewa, oczami na konie ukazując.

— A, koniecznie—odrzekł Gabrys. — W Stasiu dla mnie ratunek...

— Staś powinien znać się na rzeczy... Z kim innym, to co innego; ale z takim poczewnym jak nasz Gabrys, nie powinienes się drożyć... Gdybym był

na twojem miejscu i miał bułańca, tobym mu go darował...

— O!—przerwał Gabrys—to byłoby zbyt cenne. Tego ani potrzebuję ani chcę...

— Pojmuję twoją delikatność — pochwycił Mewa. I z powodu właśnie tej delikatności, drożenie się Stasia z koniem nie na swoim jest miejscu...

— Alboż ja się drożę!—odezwał się Staś.—Jeżeli tylko Gabrys przyjmie, to ja mu bułańca bez najmniejszej ofiaruję pretensyi.. Weź go, w imię przyjaźni...

Zagadnięty w ten sposób Gabrys, mógł tylko rękę Stasiowi na podziękowanie uściskać. Co też uczynił. Serdecznie wstrząsnął Bałabońskiego prawicę i z uczuciem przemówił:

— Dziękuję ci Stasiu, ale zarazem wymagam abys przyjął grzeczność za grzeczność... Niech ci służy siwy ogierek...

— A nie chcę... nie mogę.. za nic — przerwał Staś.

— Ale Stasiu.....

— Nie chcę... krzywdę mi robisz—bronił się obdarowany koniem, który był trzy razy tyle przynajmniej wart, co bułaniec, nie licząc w to honorowego długu, który *eo ipso* był już zmazany.

Gabrys nalegał, prosił, ale nadaremnie póty, póki nie wdał się Mewa, jako pośrednik i nie ułożył tej rzeczy tak, że Gabrys uczuł się względem Stasia obowiązany, a to dla tego, że ten ostatni darował mu bułańca i przyjął siwego ogierka. Mewa

przytem zasłużył sobie na wdzięczność jednej i drugiej strony.

Z Orkiszówki do Horbaczek było dwie mile i to lekkich. Jechało się rozkosznymi ukraińskimi polami, które słusznie poeci do morza przyrównyują. Powodem tego przyrównywania są niezmierzone okiem łąny, zbożami zasiane. Po nich wiatr buja i w fale je układa, a te fale jak woda, metalicznym odbłaskiem połyskują od słońca, i jak woda, tylko ciszej nieco i łagodniej, szumią. Przy tym szumie można marzyć, bo on do marzeń jest niby wtórem—spieszny sposobem podpowiada myślom i nastraja je na nuty tęsknych dum.

Podróżnym jednakże naszym nie marzyło się. Usposobienie ich nie było po temu, a przytem turkot powozu i tentent kłusujących koni, pokrywały sobą szum łąnów. Jechali szybko. Nam jednakże nic nie przeszkadza wyprzedzić ich i zapoznać czytelnika z mieszkańcami dworu w Horbaczkach.

Mieszkańce dworu w Horbaczkach byli właścicielami wioski tegoż nazwiska, liczącej siedmdziesiąt dusz, mającej po siedmdziesiąt morgów w każdą rękę i będącej całym majątkiem państwa Bałabońskich, których Bóg obdarzył szczęściem córkami i jednym synem. Dzieci przychodziły na świat w następującym porządku: najprzód córka, potem córka, potem córka, potem znów córka, następnie syn. Kiedy się syn urodził, pan Bałaboński był pewnym że, albo się na tem skończy, albo, jeżeliby się nie skończyło, to będą przychodzili na świat synowie. Tę pewność zaczerpnął z pewnej

statystyki, w której wyczytał, że ludność kuli ziemskiej składa się po polowie z mężczyzn i kobiet z malutką na korzyść tych ostatnich przewagą. Zakonkludował więc, że dość przewagi: trzy dziewcząt na jednego chłopca—i spodziewał się, że jeżeli mu Pan Bóg da więcej dzieci, to chyba już tylko jeszcze jednego chłopca, a to, nie tylko przez wzgląd na statystyczny perzadek, ale także przez wzgląd na Horbaczki, na które ciężko by było, gdyby wydanemi były na próbę wielkiej podzielnosci, pomiędzy coraz większą liczbę mnożących się spadkobierców. Pan Bałaboński zgadzał się na jednego jeszcze syna, dla zadośćuczynienia statystyce. Tymczasem po synie przyszła na świat córka, potem znów córka, potem jeszcze córka, ale już ostatnia. Pan Bałaboński nie był z tego kontent, lecz nie posiadając żadnego środka zaradzić złemu, musiał je uznać i przyjąć.

— Ha!—powiadał—nie moja w tem była wola... Cóż robić?...

Ażeby wsunąć w to i swojej trocha woli, obiawił ją przez imiona, jakie sześciu swoim córkom ponadawał.

— Ponazywam je identycznie — mówił.

I ponazywał. Najstarszej było na imię Eulalia, drugiej Eufemia, trzeciej Euzebia, czwartej Eugenia, piątej Eufrozyna, szóstej Eudoksia. Identyzm zawierał się w dyftongu *eu*, którym zaczynały się imiona sześciu panien Bałabońskich, a do którego ojciec ich szczególną jakąś okazywał słabość, bo i synowi dał imię na *eu*, się zaczynające. Ztąd fa-

milia Bałabońskich dostała w sąsiedztwie przewi-
sko *Eu*. Pod tém przewiskiem powszechnie ją
znano, zwłaszcza panny, mające dużo stron słabych,
o których wiedzano i rozpowiadano.

Pan Bałaboński był to staruszek już siwy, ale je-
szcze czerstwy i zdrów, chociaż chudy i małego
wzrostu. Z kilku słów, jakie o nim powiedziałem,
czytelnik poznał już zapewne że mu po mózgu ko-
ziołki wywracał figlarny szatanik, znany pod na-
zwą: bzik. Rzeczywiście miał bzik — co zresztą
dość ogólną jest szlachty naszej właściwością. Rzad-
ki szlachcic nie posiada w głowie jakiegoś zajęczka,
który mu mózg udeptuje, czyniąc go istotą do na-
rowistego konia podobną. Można z nim robić
wszystko, ale trzeba znać jego narowy i umieć
w nie trafić.

Narowem pana Bałabońskiego było przekonanie
o konieczności domowego despotyzmu. Usiłował
on wszystko trzymać — jak się wyrażał — w rękę,
starał się być surowym, nieubłaganym dla wszyst-
kich a zwłaszcza dla żony, którą przezywał drypą.
— Drypo... drypo... drypo... — przemawiał do
niej. — Ja pracuję, a ty drypiesz...

Nie wiedział, albo może wiedzieć nie chciał
o tem, że i on nie pracował, ale dryptał i gderał,
a za niego, na niego, na jego żonę, córki i syna je-
dynie pracowali chłopi, których nudził, którym
dokuczał, których — nawet — ciemniżył i na których
wiecznie narzekał.

Chłopi jednakże, jego syn, córki i żona umieli
się do niego tak jakos zastosować, że zwykle robili

nie to co on rozkazywał, ale to co oni chcieli. Z tego powodu wioska i dom pana Bałabońskiego przedstawiały się, jak wielka zarwańska ulica. Ładu tam nie było za grosz, a za to krzyków dużo. Krzyczał pan, krzyczały panny, krzyczeli słudzy i poddani, — nie krzyczeli tylko panicz i pani, bo pierwszy był w domu gościem, a drugą obdarzyła natura wiecznie uśmiechniętem i milczącym usposobieniem.

Pani Bałabońska nigdy prawie nie mówiła;—zawsze się uśmiechała, a przy gościach głową trzęsła i śmiała się. Śmiech zastępował u niej mówienie, do którego, jako introdukcja, służyły wyuczone na pamięć zapytania o zdrowie przybyłego, o zdrowie jego żony, a czasem papy i mamy. I o nic więcej zapytać nie umiała; i na żadne zapytania inaczej nie odpowiadała, tylko przez:

— Cha, cha, cha..

Za to panny *Eu* były rozmowne. Za najmniejszą okazją taką rozwijały wprawę w trzepaniu językami i można było domyśleć się, iż i bez gości nie brakło im na języcznym ćwiczeniu. Skutkiem tej wprawy, biedny gość, zwłaszcza jeżeli to był kawaler na ożenieniu, znajdował się pomiędzy sześciami siostrami, w położeniu zająca pomiędzy chartami. Każda ze swojej strony ścigała i deptała—językiem, i każda miała do tego prawo, bo zacząwszy od czterdziesto pięcio-letniej Eulalii a skończywszy na ustrojonej jeszcze w majtki trzydziestopięcioletniej Eudoksji, każda nieprzymuszona miała intencję i szczerą wolę złapać kawalera dla siebie.

Żeby opisać charaktery tych panien — o! ileż to wołowych skór na to by potrzeba. Bo charaktery ich dziwnie jakoś się mieniły. Nie można było stanowczo powiedzieć: ta żywa, ta flegmatyczka, ta roztrzepana ta sęzatka. Ta co była dziś żywą, jutro stawała się flegmatyczną, pojutrze trzpiotem a pojutrze zamyśloną i melancholiczną. Charaktery więc sześciu siostr były rozmaite—i jeżeli w czem zgodne, to jedynie w pragnieniu pójścia za mąż—pragnieniu, które od trzydziestu lat Eulalcię a od dwudziestu Dosiuńnię pożerało.

Biedne te kobiety, co się lękają być staremi pannami!—co przedewszystkiem usiłują: wydać się za mąż — i ku temu nakręcają, nakłaniają i naginają wszystko, nie myśląc że częstokroć zaszczytniej przejść samotnie drogę żywota, jak wieszac się na szyi pierwszemu lepszemu, byle być—mężatką. Zapewne: przez zamężcie tylko dopełnia się przeznaczenie i powołanie kobiety, ale—jeżeli nie można?... jeżeli, dla dopięcia przeznaczenia tego i powołania, potrzeba gwałcić okoliczności i deptać własną niewieścią cześć, zależącą stosownie do ustroju naszego społeczeństwa głównie na tem, aby kobieta była poszukiwaną, aby się nie narzucała, nie wpraszała na żonę?... Są kraje w których starych panien nie ma. Ta myśl osłodzi i uszlachetni im ich staropanieństwo, bo żywo przed oczami postawi, że nie z ich, ale z niezależnej od nich pochodzi winy, że zatem ani na czci ani na godności najmniejszej nie czyni im ujmy.

Pani Bałabońska może by o tem powiedziała by-

ła córkom, ale jej się zdawało, że córki jej tak będą dla kawalerów pożądanymi, iż ci pozostawią raczej w stanie staropanieństwa sześć innych panien, a panny Bałabońskie rozchwytają. Ojcu zaś co innego się zdawało. Ten zawsze mając na myśli równowagę liczby pomiędzy płciami, zapomniał o okolicznościach płci mężką umniejszających, i był tego przekonania, że jak on ma sześć córek, tak ktoś mieć musi szczęściu synów. Z tego powodu oboje rodzice byli spokojni o los swego potomstwa—czas biegł im tak szybko, że jakoś nie spostrzegli się, że panny ich na wydaniu podejrzewały i poprzejrzywały. Saluńcia miała zawsze lat dwadzieścia dwa, Fimcia dwadzieścia jeden a Zibcia dwadzieścia, Gencja zaś od dwudziestu lat zaczynała ośmnasty roczek, a co się tyczy Fruzyni i Dosiuńci to te grały wciąż rolę młodziutek panienczek i nieustannie cieszyły się nadzieją zrzucenia majątków. Nadzieja ta zawodziła je z roku na rok przez dwa dziesiątki lat. One jednakże nie zrażały się: były przy ludziach naiwniutkie, niewinniutkie, skromniutkie, pochylały główki to na prawo to na lewo i nawet niby nie wiedziały, co to znaczy—iść za męża.

Bez ludzi jednakże rzecz miała się inaczej. Horbaczowieckie gynecceum, składająca się z jednego dużego pokoju, w którym się wszystkie siostry mieściły, bywało teatrem wrzawliwych i płaczących pomiędzy siostrami scen. A wszystkie sceny z jednego płynęły tematu; a tematem tym było—spółzawodnictwo, na polu którego nie było lig ani sto-

warzyszeń, tylko każda z osobna stawiała naprzeciw wszystkim razem. Panna Eulalia spółzawodniczyła z pannami Eufemia, Euzebią, Eugenią, Eufrozyną i Eudoksją. Panna Eufemia spółzawodniczyła z pannami Eulalią, Euzebią, etc. — i tak do końca, aż do trzydziestopięcio i trzydziestosiedmioletnich panienczek w majtkach, które w majtkach upatrywały najgłówniejszą do zamążpójścia przeszkodę a powód tej przeszkody widziały w starszych siostrach, którym swojemi majtkami musiały maskować lata.

O ileż to razy majtki były treścią żywych rozmów i powodem gorących łez!... W tym względzie—ale w tym tylko jednym — ligowały się siostry, dwie przeciwko czterem. Wiele jednakże—powiada przysłowie — złego, dwóch na jednego. Dwie musiały uleść czterem i chodzić w majtkach, chodzić, chodzić,—z perspektywą chodzenie póty, póki panny Eulalia, Eufemia i Euzebia zamąż się nie wydadzą.

— Piękna perspektywa! — powiadały ze łzami i żalem panny Eufrozyna i Eudoksja.

— A piękna!—odpowiedziała z przyciskiem panna Eulalia. — Gdyby Fimcia nie wyemancypowała się była zawczasie, to jużbym oddawna za mąż poszła...

— Proszę!... to ja o tem nie wiedziała...

— Trzeba, żebyś wiedziała...

— Dziękuję!...

— Przepraszam!...

— To już chyba nigdy—(tu w głośny płacz zwykle uderzała)—majtków nie zrzucę...

— Zrzucisz... jak przyjdzie na to czas... jak ja zamąż pójde...

— I ja, jak pójde—pochwyciła Eufemia.

— I ja—dodała Euzebia.

— I ja—zakończyła Eugenia.

— Kiedyż to nastąpi?... kiedy? — zapytywała Fruzyńcia lub Dosiuńcia.—Przecież to...

I nie kończyły: bo po przecież to, w logicznem następstwie iść było powinno obliczenie lat, a tego, jak grzechu śmiertelnego, nawet w myśli, przed własnem sumieniem, wystrzegały się panny Bałabońskie. Wystrzeganie się to szło tak daleko, że gdyby księdzu jakiemu przyszło na myśl podczas spowiedzi zapytać je o wieki, to z pewnością Saluńcia powiedziałyby, że kończy dwudziesty pierwszy rok, a Dosiuńcia, że zaczyna piętasty—czyli—najstarsza ukradłaby sobie lat dwadzieścia cztery a najmłodsza tylko dwadzieścia.

Wypadałoby powiedzieć coś i o wdziękach pannen Bałabońskich. A ponieważ by wypadło, więc powiem, że ogólne prawidło nakazuje każdą pannę nazywać ładną. Stosując się przeto do tego ogólnego prawidła, oświadczam, że panny Bałabońskie były ładne i każda z nich miała jakiś szczególny wdzięk, który pielęgnowała i uwydatnić się starała. I tak, panna Eulalia miała cudne oczy: więc je mrużyła i słodziła i melancholijnie nastawiała; panna Eufemia miała zachwycający nosek: więc wyciągała główkę, tak aby nos jej był o ile możno-

ści na przodzie; panna Euzebia miała prześliczne usteczka: więc je sznurowała i do uśmiechów tak układała, aby się prześliczność nie popsowała; panna Eugenia miała czarujące uszka: więc się boczkciem nosiła; Fruzyńcia zaś i Dosiuńcia odznaczały się, jedna rączkami, druga nóżkami: im jednakże nie wolno było być w pretensyach.

Wszakże, zamiłowanie prawdy, przypuszczalne nawet w powieściopisarzu, nakazuje mi powiedzieć, że, chociaż panny Bałabońskie ładne były w ogóle wszystkie razem i w niektórych szczególnościach każda z osobna, ładniejszą jednakże od nich była Ksenia, dziewczyna mająca na prawdę ośmnaście lat i i w horbaczowieckim gynecceum wyglądająca jak kwiat, zagłuszony ostami, pokrzywami i burzaczami. Dla państwa Bałabońskich korzystniejby było mieć taką jedną Ksenię, jak sześć takich pańien *Eu*.

IV.

Co się działo w horbaczowieckim dworze, gdy jedna po drugiej najdyczanka, jeden po drugim powóz, zajeżdżać poczęły na podwórze, zatrzymywać się przed gankiem i wyrzucać ze siebie samych kawalerów na ożenieniu, — co się tam działo w serduszkach panien Bałabońskich—tego pomimo całej mojej do autorstwa pretensyi, opisać nie potrafił. Panowie zajeżdżali i wysiadali; panny, na widok pierwszego powozu, pierzchły jak zestraszone kuropatwy do panińskiego pokoju i dalejże, każda z osobna, i wszystkie razem wywoływać:

— Ksenia, wody!... Ksenia, mydła!... Ksenia, ręcznik!... Ksenia, podwiąż!... Ksenia, zapnij!... Ksenia, przypnij!... Ksenia, przyczesz!...

Sto—co mówię! — mało zapewne nie tysiąc razy wymówionem było z niecierpliwym naciskiem imię Kseni, która się kręciła i zwijała póty, póki paniński pokój nie wypróżnił się z panien i póki sama, zadyszana i zmęczona, nie usiadła na jednym z dziewiczych, ustawionych do koła pod ścianami, łózek.

Usiadła i westchnęła. Piękne jej oko przyćmiło się dziwnym jakimś wyrazem smutku. A że była rzeczywiście piękną, więc smutek był jej do twarzy,—uroczo zasepiał jej gładkie czoło, oznaczone u dołu dwoma łukami cienkich jak sznureczki brwi, a u góry splotami kruczych włosów, grubemi ciężących warkoczami,—uroczą chmurką jakąś owiewał śliczną jej twarzyczkę, na której wznosił się zgrabniutki, figlarnie do góry nieco zadarty nossek i kraśniały karminem usteczka. Podparła głowę rączką: — ta była szorstka, zapracowana i nie biała ale zgrabna i malutka.

Gdy tak siedziała i dumiała, rozległo się wołanie: — Ksenio!...

Ksenia zerwała się szybko i jakby w przestraszu, i usłyszała rozkaz, do spełnienia którego natychmiast poskoczyła. Rozkaz był następujący:

— Szklankę wody dla panny Leokadji!...

W tem miejscu narzuca mi się mimowolnie przestroga, którą dać muszę pannom na wydaniu, będącym w położeniu pańien Bałabońskich. Niech one nigdy do usług swoich nie biorą ładniejszych od siebie któreby je blaskiem piękności zaćmiły. Bo oto, co się stało. Gdy Ksenia, ze szklanką wody na talerzu, zjawiła się w izbie, bawialnym zwanym pokojem, w której było para rodziców, pragnących córki wydać za mąż, dwunastu kawalerów na ożenieniu i sześć pańien na wydaniu, i panna Leokadja (o tej ostatniej pomówimy natychmiast), to oczy wszystkich kawalerów zwróciły się na Ksenię. Ksenia pokrasniała jak malina pod krzyżowym ty-

lu wzroków ogniem, i gdy panna Leokadja wzięła szklankę z talerza, tak jej w oczach pociemniało, że gdy miała odchodzić, i talerz i szklanka z rąk jej wypadły i z łoskotem w drobne kawałki na podłodze się rozbiły. Ten wypadek zwrócił na nią powszechną uwagę. Kawalerowie okazali jej żywe spólcucie; panny tkliwym głosem uspakajały kawalerów, którzy rzucili się pomagać Kseni do zbierania kawałeczków szkła i fajansu; pani Bałabońska się śmiała; pan Bałaboński rzekł do Kseni półgłosem:

— Ja ci tego, świnió nie zapomnę...

A panna Leokadja odrzekła głośno panu Bałabońskiemu:

— Gdyby moja dziewczka tak się spisała, to każałabym jej trzydzieści różeg wysypać.

Biedna Ksenia!... Żal mi jej. Może ją i czytelnik trochę żałuje, z powodu nie wypadku, który sam w sobie był bardzo drobnym i naturalnym, ale z powodu perspektywy, jaką jej usta panny Leokadji wygłosiły.

Panna Leokadja, choć to panna, a nie mogłem o jej ustach powiedzieć usteczka, tylko usta. Byłbym chętnie powiedział wargi, ale nie śmiałem nieprzyzwoitego w zastosowaniu do płci pięknej użyć wyrazu. A były to usta znakomitej wielkości, szerokie i grube i doskonale z całą panną Leokadji postacią harmoniujące, z postacią która właściwszą by była dragonowi jak pannie. A była to panna nie lada—jako partja nieoszacowana dla tych co potrzebowali posagu, który u niej leżał w gotówce,

w ilości trzechkroć sto tysięcy złotych polskich, spadłych na nią, jak majowe żabki z nieba, po śmierci jakiegoś sknery stryjaska czy wujaska, który przez całe długie życie zbierał i zbierał, i w końcu domyślił się umrzeć bez testamentu. Panna Leokadja, odziedziczywszy ten spadek, stała się od razu ogromnie bogata. Niegdyś, jak o niebieskich migdałach, marzyła o trzystu złotych na wyprawę, pod którą rozumiała posag. Marzenie jej urzeczywistniło się tysiąckrotnie, a rzeczywistość przynosiła jej rocznie ośmnaście tysięcy samych procentów. Za procenta kupiła domek w miasteczku przy kościele i zamieszkała z matką, która była niegdyś u państwa Bałabońskich ekonomową i po śmierci męża musiała wysługiwać się jako klucznica i tulić przy sobie córkę, która w dziewiczym stanie dojrzała, przejrzała i doczekała się posagu. Była jednakże młodszą od najmłodszej z panien Bałabońskich o pięć lat—a nie poszła za męża, nie dla tego że przebierała, ale że jej nikt wybrać nie chciał: była bowiem, *pro primo*, biedną, *pro secundo*, straszną. A niech nikt wyrazu straszną nie bierze w znaczeniu brzydoty. Bywają brzydsze od panny Leokadji i pomimo to idą za męża. Straszność panny Leokadji zależała na niepospolitej sile dłoni, sile której dowody niejednokrotnie dała. Podnieść korcowy wór zboża i bez pomocy zarzucić go sobie na grzbiet: było dla niej igraszką. Zaaplikować policzek taki, żeby w skutek onego kłka zębów wyskoczyło i krew z nosa lunęła: było dla niej, jak orzech zgryść. Z tego po-

wodu lękali się jej, zwłaszcza na żonę, wszyscy co ją znali, od furmanów począwszy, do których ona, będąc ubogą, wstrętu nie czuła, a na ekonomach skończywszy, którzy dla niej byli niegdyś ideałem świętego zamążpójścia.

Slepa jednakże fortuna zrobiła nie jednemu furmanowi i ekonomowi figla. Nie jeden z nich, zwłaszcza z tych ostatnich, dowiedziawszy się jaki obrot około fortuny panny Leokadji zrobiło, powiedział głosem:

— Jakież ze mnie dureń!... Bałem się, żeby mi pysków nie kuła i zębów nie wybijała?... No, proszę... Niechby była kuła i wybijała, ale miałbym trzykroć sto tysięcy...

I byli tacy, co chcieli złe naprawić. Posunęli do trzykrociowej panny, ale się sparzyli. Panna Leokadja, jak tylko który z takich próg jej przestąpił, natychmiast spotykała go następującem przywitaniem:

— Nie fatyguj się pan po moje pieniądze... Będziesz je widział, jak swoje ucho...

Gdy zaś który, chcąc się ratować, wyprzysięgał się widoków 'na marną mamonę, wyrzekał się żądz podłego kruszczu, odpowiedziała:

— *Na seło duryty... B... tomu szo nosa ne maje...* Oho, znam się ja na farbowanych lisach... Nie wyprowadzisz mnie waspan w pole... Dam ja sobie radę i sama... Potrafię żyć, zreć i obżerać się za własne pieniądze: do tego nie potrzebuję pomocnika...

Tego rodzaju *bons mots* panny Leokadji krążyły

z ust do ust po okolicy i ona rada się z niemi popisowała przy każdej zdarzonej okazji i tak: kiedy Ksenia stłukła szklanekę i talerz, a ona jej się różgami odgroziła, Mewa przemówił do niej:

— Czyż pani nie miałaby litości nad takim ładnem stworzeniem?...

— Owa!... albo co?... była odpowiedź bogaczki.

— A gdyby kto panią za nią prosił?

— To bym ją tak zryćkała, żeby miesiąc popamiętała...

— Ona taka ładna!...

— Tobym jej pysek podrapała, żeby klempa nie miała czem ludziom oczów drzeć...

— Pani taka zawzięta!...

— A uwzięta... Alboż to co?... Ot, gdybym się nie uwzięła, to już od dawna jakiś hołysz, jak paciuk w karmniku, pasł by się za moje pieniądze....

Mewa ścisnął ramionami z oznaką powątpiewania.

— Na co pan takie robi miny? — pochwycała panna Leokadja. — Na co to udawać, że pan o tem nie wie?... A ja wiem, że i pan się do mnie oblizuje.....

— Pani taka werydyczka — rzekł Mewa z eleganckiem przymileniem.

— Rydyczka czy nie rydyczka — odparła panna Leokadja — to mi tam wszystko jedno... Ja, panie, tak: prosto z mostu... Kto do mnie nos wściubi, to ja go szczotką pod nos... Powiedz no mi pan, co to ze jeden ten chłystek, co do niego tak panny Bałabońskie przysiadają?...

— To pan Gabriel X...

— Aha!—na tę wiadomość powoli do siebie powiedziała panna Leokadja.

— Pani go zna?...

— Taż gdybym znała, nie pytałabym pana... Ale kiedy mi pan powiedział, kto on taki, to nie mogę się nadziwić dla czego on z panami się zadaje..

— Dla czego to panią dziwi?...

— Jak nie ma dziwić?... On bogacz a panowie hołysze... to on panów na swoim chlebie *za durno* trzyma...

— My jego przyjaciele....

— Cha cha cha! — głośno roześmiała się panna Leokadja. — Przyjaciele do miski ta do kieszeni... Biedna moja godzinka, z takimi przyjaciółmi...

I śmiała się. Śmiech jej był tak donośnym, że chociaż z Mewą siedziała i rozmawiała na stronie, przecie zwróciła na siebie uwagę całego towarzystwa. Panny Bałabońskie spojrzały na nią z wyrazem, który mówił:

— O, gdybyś się ty, z twojemi śmiechami i manierami pod ziemię zapadła, a nam swój posag zostawiła!...

Panowie popatrzyli na nią ostrożnie i z uszanowaniem, wyjąwszy Gabrysia, który po cichu zapytał siedzącego obok Ksawerego:

— Cóż to za czupiradło?... Czy jaka ciotunia papanien Bałabońskich?...

— Gorzej jak to—odparł zapytany i dodał z przy-ciskiem:

— Trzechkroćstotysięczna panna na wydaniu...

— Oho! — wykrzyknął mimowolnie Gabrys i zmierzył pannę Leokadję od stóp do głowy.

W tej chwili wzrok panny Leokadji, współczucie i protekcyjność wyrażający, spoczywał na Gabrysiu, który po „oho” takie dał Ksaweremu za pytanie:

— Zapewne Staś o nią się stara?...

— Starał się...

— I cóż?...

— Dostał formalnego harbuza, zaprawionego przysłowiem: „*kudy kucomu do zajcia!*”

— To panna przebiera?...

— Nie chce iść za hołysza... Gdybyś ty o jej rękę posunął, to...

Gabrys się roześmiał.

— Co to! — na głos i w słuch wszystkim odezwała się panna Leokadja. — Czy pan ze mnie się śmieje?...

— A niechże mnie pan Bóg broni — odparł Gabrys.

— Bo mnie się zdawało, że ze mnie... Ten pan — tu ukazała palcem na Ksawerego — patrzył na mnie i szeptał coś z panem... To ja myślała, że to o mnie szeptaszki... i chciałam temu panu rogów trochę przytrzeć, żeby nie był taki bundziuczny.

Możemy sobie wyobrazić, jakie tego rodzaju odezwanie się na pannach Bałabońskich wrażenie zrobiło. Przestrach odmalował się w ich oczach; a po chwili przetrach znikł, a miejsce onego zajęło błaganie o litość, błaganie którem po kolei wszystkich obdzielili kawalerów. II. zapanowała chwilowa ci-

sza, a w tej ciszy dzwoniło półgłose: chi, chi, chi, pani Bałabońskiej.

Miasteczko Ryszki, w którem panna Leokadja mieszkała, leżało od Horbaczek nie dalej jak o pięć wiorst. Z powodu tej bliskości, a także z powodu dawnych stosunków, była ona częstym w Horbaczkach gościem—pożądanym sam na sam z rodziną Bałabońskich, w której jej posag wzbudzał dla niej szczególniejsze uszanowanie,—zawadzającym, kiedy był kto z obcych, takich szczególnie których się należało żenować. Zawadzała więc niesłychanie wobec tego najazdu kawalerów, od pierwszej chwili przybycia których, panny Bałabońskiej czuły gwałtowną potrzebę pozbycia się jej. Ta potrzeba stała się jeszcze gwałtowniejszą po zabranii przez nią głosu. Jak było jednakże jej zadość uczynić?—

— Potrzeba—powiadają—jest matką wynalazków. Potrzeba natchnęła Saluńcię, która pieczołtliwym głosem w następujący, wśród ogólnego milczenia, odezwała się sposób:

— Leosieczko serce, twoja mama musi się nudzić sama...

— E, nie bardzo—odparła zagabnięta.

— Cóż porabia, kiedy ciebie, duszko, nie ma?..

— Dałam jej pończochę do cerowania... Szczególniejsza rzecz: takie, proszę państwa, wydeptuje w pończochach dziury, że mój kułak w nie wlezie...

Ścisnęła dłoń w kułak i pokazała towarzystwu. I dalej rzecz ciągnęła:

— Nie mogę sobie dobrać dziewczki... Mam ta jakies dziewczysko, darmo ją, która mnie tylko iry-

tuje... Muszę ją codnia za cerowanie hołomszyćmb popłacze, pozciąga i tyle z niej pociechy... Nikt o: tak nie umie dogodzić, jak mama...

— Kochana twoja mamcia — pochwycała panna Eulalja. — Ja bym jej na krok nie odstępowała...

— A tóż znów dla czego? — odparła panna Leokadja. — Cóż to: czy moja mama kielbasa? czy mam jej pilnować aby jej psy albo koty nie zjadły?.. Owa!... Czy moja mama krowa a ja ciele, abym się jej trzymała?...

Wszystkie panny Bałabońskie po same uszy, jak najczerwieńsza piwonja, poczerwieśniały. Panowie gryźli wargi, usiłując bolem ust wydzierający się gwałtem z piersi śmiech uhamować. Byliby jednakże nie uhamowali, gdyby Mewa nie przypomniał potrzeby odjazdu.

Okazanie ochoty do odjazdu przez wszystkich dwunastu na raz kawalerów, wytrąciło z myśli i serc panien zgryzotę, której powodem było nie-stosowne odzywanie się panny Leokadji. Gdy kawalerowie zaczęli żegnać, panny uderzyły w proźby:

— Czegóż się tak spieszyć?... mój Boże!... Prosimy zostać jeszcze chwileczkę, na herbatę... już gotowa ..

— Już kolacya gotowa... Ot dają... Waza na stole... To mi grzeczni, odjeżdżać od kolacji...

— Herbata gotowa...

— Kolacya gotowa...

— Prosimy się zatrzymać... Panowie robią nam krzywdę ..

Takie błagania płynęły z ust sześciu panien Ba-

łabońskich, które przedstawiały sobą zachwycającą grupę dziewic, niby bukiet kwiatów, mających zamiast koron i kielichów panięskie głowy wałkami i kaszpeniami nastrzępione, a zamiast łożyczek krynoliny. Głównki nachylone były jedna ku drugiej a ręczki splatały się we wianek, jakby te dziewicze postacie spajała w jedną girlandę jedna nić siostrzanej miłości. Wszystkie razem stały i wszystkie—każda we własnem i siostr imieniu—prosiły. Głos ich był tkliwy, dzwięczny, pieszczony.

— Nie podobna—odpowiadali kawalerowie—nie możemy... Tyle paniom robimy ambarasu...

— Ambarasu! — wszystkie w jeden zawołały głos.—Panowie?... robicie nam ambaras?... Panowie nas krzywdzicie... jak mamcię szczerze kocham!... obrażacie... Jak to można?... czy się godzi?... Odejeżdżać bez kolacji, nawet bez herbaty?..

— Niech sobie jadą — odezwała się panna Leokadja półgłosem, ale takim który mógł bardzo głośną zastąpić przemowę.—Niech sobie jadą... Co to wam szkodzi?... Napójdzie ich i nakarmcie, a oni na was czyste nitki nie zostawią.

— Ależ, moja Leonciu! — niecierpliwie bąknęła panna Eulalia.

— Nie ależ, nie ależ! — podchwyciła bogaczka.— Ogadają was, żeście stare, ba kaprawe, ba grube jak beczki, ba cienkie jak glisty, ba ..

Rozpacz panny Bałabońskiej owładnęła. Kawalerowie kłaniali się, a panna Leokadja bębniła w głos:

— Gdybyż przynajmniej który zdał się za męża?... A to pfe!... same żebraki, wyjąwszy X., który tak

do was przystaje jak pięść do nosa... On mógłby być synem Dosiuńci, choć ona w majtkach jeszcze chodzi, a on słusznego już kawalera udaje...

— Leosiu! — piskliwym rozpaczym głosem zawołała Dusiuńcia, głosem takim jakby ostatni na torturach wydawała krzyk.

Krzyk ten odbiciem tylko wpadł w uszy dwunastu kawalerów, zgłuszony turkotem zajeżdżających najtyczanek i koczyków. Kawalerowie wysypali się hurmem na ganek, wyprowadzeni przez panów — starego i młodego — Bałabońskich, którzy ich kordyjalnie zegnali i dobrej im drogi życzyli. Najtyczanka po najtyczance, koczyk po koczyku wynosiły się z horbaczowieckiego podwórza. Ostatnim był pojazd Gabrysia. Unosiło go cztery bułańce, na które Gabrys z wielkim zadowoleniem i dumą poglądał. Wsiadłszy do pojazdu, kiedy furman gromkiem wio ho! konie w kłus z miejsca rzucił, oglądnał się po podwórzu, jakby czegoś lub kogoś oczami szukał. Szukał, nie znalazł, — więc utonął w siedzeniu pojazdu i zadumał się.

Za nim w pościg ruszyło dwanaście ócz, które się do szyb przykleiły, ócz tęsknych, łzami napełnionych i ubrylantowanych do koła zawieszonemi na rzęsach drobnymi kropelkami. Westchnienia cisnęły się na szyby potem okrywając szkło, i sunęły obficie jedno po drugim, a piersi dziewic wznosiły się i opadały; rozdymane smutnem uczuciem kompromitacyi w obec całego tuzina kawalerów.

Każda z panien Bałabońskich z osobna i wszystkie razem, były w takim usposobieniu, że tylko

możność przeszkadzała im wydrapać pannie Leokadji oczy, pokąsać jej policzki, nos, uszy, wytargać jej włosy, nakłuć ją szpilkami, igłami: bo na drodze tej możliwości stały przeszkody fizyczne i moralne — fizyczne, zawarte w olbrzymiej sile dłoni panny Leokadji, moralne, odbijające od jej trzechkroćstotysięcy. Więc tylko osobiste zmartwienie mogło być i było kompensacją kompromitacji. Panny Bałabońskie łyzy miały w oczach i sercach, łyzy wszędzie, nawet w głosie, gdy która się odezwała. Gdy pojawił się tuzin kawalerów (aż tuzin!... to znaczy, po ściślem obliczeniu po dwóch na jedną) to ten tuzin stał się wiośnianem słońcem, porankową rosą, na zbolące długiem czekaniem, zwiędłe, smutne starych panien serca. Mniejsza, że ten tuzin był kolekcją samych próżniaków, żebraków (wyjąwszy Gabrysia, nie żebrzącego dla tego jedynie, że los obdarzył go dziedzicznym majątkiem), pieczeniarczy i (powiedziawszy wyraźnie) lajdaków. Mniejsza o to. Przed pannami błysnęła perspektywa wyjścia zamąż — przynajmniej za szlachcica: cały bowiem ten tuzin potwierdzonym był przez heraldę. Błysnęła perspektywa — i każda wybrała sobie sześciu.

— Nie ten to ten, a nie ten to ten — szeptała im pocieszycielka utrapionych, złota nadzieja, która zasłoną okrywała smutną przyszłość w życiu, z ludźmi, marnotrawiącymi życie, a ukazywała same piękne jeszcze strony.

Aż tu raptem, nadzieja przyszłości pękła, jak bańka mydła — i pozostało z niej nic, gorzej jak

nie, bo zawód, który, chociaż był fałszywym, urojonym, nie mniej przeto bolał jak najprawdziwszy. Kto roił tak długo, jak panny Bałabońskie, ten mi. mowolnie urojenia bierze za rzeczywistość.

Uroiło się naszym pannom, że kawalerowie sprzykrzyli sobie kawalerskie życie i przyjechali do Horbaczek jak do rozsadnika, z którego zapragnęli wiać fance i na małżeński przesadzić je grunt.

— Bo, po cóż by — mówiły — przyjeżdżali taką kupą, aż we dwunastu?... Wyraźnie chcieli nas obejrzeć...

Napróżno panna Leokadja im persadowała:

— Na diabła mieliby was obzierać!... Czyż nie naobzierali przez tyle lat?... Taż oni was znają z kościołów, odpustów i jarmarków, jak złe szelągi...

— Moja Leosiu — z akcentem gorzkiej wymówki odezwała się (podobno) Zibcia. — Ty nam strasznie zaszkodziłaś...

— Ja?... na!... zawołała Leokadja. — A toż jakim sposobem?...

— Ty tak dogadywała...

— Co?... kiedy?...

Co? — żadna z panien Bałabońskich nie śmiała tego wypowiedzieć, bo tu chodziło o lata, z których one same przed sobą tajemnicę robiły.

— Oni przyjechali oglądać konia, nie was i dopilnować aby tego młodego panicza Staś nie okpił...

Zbiorowe panien Bałabońskich westchnienie było odpowiedzią na to oznajmienie. Żadna z nich nie wierzyła ani przypuszczała, aby było, aby mogło

ono być prawdą. Koń w ich mniemaniu służył tylko, jako pretekst do osłonięcia rzeczywistego powodu.

I odezwały się rzeczywiste smutki, który je, jedną po drugiej, wyprowadził na ogród, pod cienie grusz, jabłoni, wiszeń, czereśni i sliw. Tam oddały się dumaniom, będącym powtórzeniem dumań bez końca, które snuły jak Penelopa swoje płótno — rozsnuwały i znów snuły, na to aby je rozsnuwać i snuć.

I po obszernym ogrodzie, przytykającym do horbaczowieckiego dworu, cienistym z powodu że drzewa rosły i rozrastały jak im się podobało, błędziły jak cienie przy blasku gwiazd i świetle wschodzącego księżyca.

I byłyby błędziły i dumały do białego dnia, gdyby nie pan Bałaboński stary, który wygderawszy się na ekonoma, żonę, syna i służących, przypomniał sobie, że jeszcze przed pójściem do łóżka ma gderać na córki. Począł więc zwoływać po starszeństwie jedną po drugiej i wymawiać im romanse.

— Co tam łazisz, jak ćma, po nocy... A że też te romanse raz skończyć się nie mogą!... A to skarcanie boskie!... Nie poszłabyś spać?... Bo to przy tem łożeniu i czasie i trzewików szkoda... Ja na trzewiki starczyć nie mogę, a ona klepie się po rosie!... etc.

Zmartwione, rozkołysane dumami i polajane, poszły panny Bałabońskie spać, rozebrane do snu przez Ksenię, na którą gniewały się — za czkawkę.

Ksenia miała czkawkę przez cały wieczór. Powiadają, że powodem tej choroby jest wspomina-

nie. Ktoś kogoś wspomina — i ten drugi ktoś dostaje czkawkę. Może i Ksenię kto wspominał. To może nasze przemieniłoby się w rzeczywistość, gdybyśmy przysłuchali się rozmowie, jaką jadąc do Orkiszówki, toczyli pomiędzy sobą Gabrys i Mewa. Przez całą drogę o nikiemnie mówili, tylko o Kseni.

V.

Tradycja stawia w przeszłości wzór skończonego lamparta w postaci Mazepy, pazia Jana Kazimierza. J. B. Zaleski doskonale scharakteryzował go w dumie, w której w usta jego następujące włożył wyrazy:

„Każda piękna dla mnie równa”... etc.

To samo mówił sobie i Gabrys, — a powód jego mówienia łatwym jest do usprawiedliwienia. Liczył zaledwie dwadzieścia lat, był zdrow, silny, kipiący życiem, ale życiem zwierzęcia i nie miał w duszy zaszczepiony żadnych szlachetnych zasad. Więc dla niego było wszystko jedno—Ksenia czy nie Ksenia — byle piękna. A że Ksenia była rzeczywiście piękną, że pod tym względem więcej miała wartości jak wszystkie razem panny Bałabońskie, z dodatkiem panny Leokadji, jak każda z osobna ze znajomych w okolicy dam wyższego towarzystwa, panien i mężatek, wdów i rozwódek, przeto nie dziw że podobała się dwudziestoletniemu Gabrysiowi. Podobała mu się do najwyższego

stopnia, to jest: wydało się naszemu bohaterowi, że się rozkochał.

— I dla czegoż nie miałbym się kochać!... choćby dla oryginalności!—mówił sam do siebie.—Pokojówka?... Cóż mi tam do tego... Czyż kochanie ma pociągnąć za sobą jakie następstwa?...

Następstwa?... Gabrys nie zapytał: dla kogo?.... Gdyby był zapytał, to może inaczej jakoś przedstawiłyby mu się następstwa owe, wyrażające się ofiarą bardzo niewinną, bo uwiedziona, albo raczej—jak na teraz—uwieść się mającą. Gdyby się był zapytał, to może w sercu jego obudziłaby się litość i pomyślałby:

— Cóż ono winno, to chłopskie dziecko, żeby mu trucizną serce poić?...

— Nie zapytał się, nie pomyślał, tylko dał wolę wyobraźni, a ta mu cudne nasuwała rzeczy. Cudnie — bo cudnie piękną była bohaterka paniczowskiej fantazji — cudnie piękną, stworzoną, jakby na podziw świata. Kończyła ośmnaście lat. Wzrost miała wysmukły i wiotki i tak szykownie była sformowaną, że każdy strój był jej do twarzy. Nie potrzeba było żałować że los nie obdarzył jej możliwością strojenia się. Bez toalety mogła się obejść. W zapasce czy spodnicy, w zgrzebnej koszuli, w zawiniętych nad czołem warkoczach, w listkach lubystku lub w bławatkach za warkoczami, boso bez kółców i świecideł—była zachwycająca. Czarne jej, palące oczy zastępywały klejnoty, i zastępywały z naddatkiem — bo żadne dyjamenty, żadne drogie kamienie nie miały tego zewnętrznego połysku

i wewnętrznego blasku. *Wewnętrznego*—powiadam—blasku, zdawało się bowiem jakoby pochodził on z duszy, zdawało się, jakoby ta chłopska dziewczyna, nie ciałem, ale duszą była zachwycająca—taka jakaś cudność z oczu jej promieniła.

Całą jej wadą było to, że była niestety! chłopką, a na dobitkę złego, poddanką pana Bałabońskiego.

Ale Gabrys nie uważał na to. On ją upoetyzował w wyobraźni swojej, opierając poetyczność na przypuszczeniu.

— Kto wie — mówił sam do siebie — czy ona chłopka i czy poddanka?—A może nie?..

Podstawą tego przypuszczenia były „*Tajemnice Paryża*” które bohater nasz świeżo przeczytał. Ksenia, w paniczowskiej wyobraźni, zakrawała na *Fleur de Marie*; dom zaś państwa Bałabońskich wyglądał na złodziejską jaskinię, w której Eugeniusz Sue umieścił początkowo śliczną Goualezę, a sam Gabrys wyobraził sobie, że jest panującym księciem na Gerolsteinie. Jedyna różnica, jaka pomiędzy Rudolfem a nim, według niego zachodziła, była ta, że Rudolf nie był w pięknej grzesznicy zakochany, a on był. Ta jednakże różnica na korzyść naszego bohatera wypadła, czyniąc go, w jego własnem mniemaniu, o całe niebo od Rudolfa wyższym. Coś palladyńskiego—pomimo że guwernerowie niedokładne mu o średnich wiekach dali wyobrażenie — zawitało do jego pragnień, coś donki szockiego napiętrzyło w jego myślach. Zapragnał

jakichś trudności do zwalczenia, przeszkód do złamania. Zamarzyło się mu w perspektywie:

„Kochankę swoją w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść”.

Wyobrażał sobie, jak pięknie na koniu łamałaby się giętka postać Kseni, jak jej czarne warkocze spływałyby po jego łonie i ramionach jak jej rączki, jej nóżki...

Nieszczęściem, rączki i nóżki były czerwone, szorstkie. To psuło efekt, jednakże nie bardzo. Gabrys pocieszał się tem, że rączki Goualezy musiały być także białości i delikatności podejrzanej, a pomimo to była ona córką szlachetnej angielski i jeszcze szlachetniejszego udzielnego księcia. Na świecie zdarzają się takie wypadki. Nic więc nie przeszkadza, aby i Ksenia być nie miała podobnym wypadkiem — najszlachetniejszym kwiatkiem, którego nasionko, skutkiem zbiegu nadzwyczajnych okoliczności, zaroniło się po między chłopskie w Horbaczówce pokrzywy. Nie jest to niepodobieństwem. A jeżeli niepodobieństwem nie jest, to jest prawdopodobieństwem. Od prawdopodobieństwa odrazu, jednym susem, skoczył nasz bohater do pewności i gotów był na ewangelję przysiąc: że Ksenia nie była pana Bałabońskiego poddanką.

Bodajto miłość! — n. b. złotej, wychowanej na wzór Gabrysia młodzieży...

A przecież, pewność w rzeczywistości co innego jak w wyobraźni Gabrysia mówiła. Dla przekonania się, kim była Ksenia, dożyć było zajrzeć do cer-

kiewnych ksiąg Horbaczowieckiej parafii. Tam była metryka naszej bohaterki, a w tej metryce stało jak najwyraźniej: że ojciec nazywał się Fed Bezholowy, matka Paraska. Byli tam wymienieni i chrzestni rodzice, ale ci mało nas obchodzą. Był tam wymieniony i ksiądz proboszcz, co chrzczył naszą bohaterkę; ten jednakże jeszcze mniej niż chrzestni rodzice nas obchodzi. Więc chrzestnych i księdza pominiemy, a zapoznamy czytelnika z Fediem i Paraską, którzy są pod pewnym względem bardzo ciekawi.

Za lat dwieście, sto, a może już pięćdziesiąt, — a może nawet prędzej (nie wiem) — nikt nie zechce uwierzyć temu, co się działo, kiedy ojciec Kseni z chłopięcia wyrastał na... chciałem napisać „człowieka,” ale mi pióro odmówiło posłuszeństwa. Dziwne bo mam pióro!... podobne trochę do owego pierścionka z bajki, który kłół noszącego w palec, ile razy ten co złego spłatał lub spłatać zamierzał. Moje pióro w palce mnie nie kole, ale mi z palców wypada, ile razy na końcu onego zawisnie kłamstwo. Ot i teraz naprzykład już miałem napisać, że Fed' wyrastał na człowieka i pióro mi wypadło, bo byłbym skłamał. Fed' mógł być wyrosć na człowieka; dzięki jednakże stosunkom społecznym, które go uczyniły poddanym pana Bałabońskiego, wyrósł na bydlę.

Fed' jak każde przychodzące na ten świat dwunożne zwierzę, należące do rodzajn zwanego „człowiek,” miał dane przez Boga wszystkie człowieczeń-

stwa warunki. Warunki te w duszy jego spoczywały w zarodku, a zarodek ich mocniejszego był niż u innych gatunku.

Z tego, to jest z gatunku zarodku człowieczeńskich warunków, muszę się przed czytelnikiem wytłumaczyć.

Każdy człowiek rodzi się więcej lub mniej w tym lub owym kierunku uzdolnionym, czyli w każdym spoczywa zarodek jakiegoś potrzebnej społeczności specjalności. Ten mógłby zostać tem, ów owem, ale jeden nie przekraczając granic zwyczajności, drugi głową lub sercem wznosząc się nad tłum pospolitych ludzi. To daje się z łatwością rozpoznać w dziecku. W jednym, w tem co ma pospolitym zostać człowiekiem, zarodek człowieczeństwa spoczywa w stanie uspienia i trzeba go budzić. W drugim, w tem co ma się wnieść nad tłum, zarodek budzi się sam, kielkuje własną wewnętrzną siłą, własnym popędem wydobycia się na wierzch: — wystrzełiłby w bujny, piękny kwiat, zasypałby ludzkość owocami myśli, gdyby mu tylko nie przeszkadzano. A gdyby mu pomagano?... a!... wzniosłby się na najwyższy ludzkości szczybel — rozumie się — szczybel moralny, nie żaden ze znanych w oficjalnych hierarchjach, mających smutną własność ogłupiania i rozłaszczania ludzi.

Fed' należał do tego ostatniego rodzaju. W nim zarodek obudził się sam — i to w najfatalniejszych warunkach, bo przy pańskich świniach, do których go wzięto, nie pytając o pozwolenie jego rodziców,

nie radząc się własnych jego gustów i skłonności. Po prostu, pan Bałaboński potrzebował pastuszkę i powiedział o tem ekonomowi, a ekonom posłał essauła, rozkazawszy mu wynaleźć ehłopca, na którym nie ciężyłaby jeszcze pańszczyzna. Takim chłopcem był Fed' — sierota, pozostawiony na łasce ludzkiej, przez matkę w pierwszej przyjścia na świat chwili, przez ojca trochę później. Ojciec jego poszedł w rekruty i nie wrócił. Może on gdzie żył, ale nikt o tem nie wiedział, nikt a najmniej Fed' który żył łaską ludzką, a raczej boską, póki go essauła nie zaprowadził do dworu i przy pańskiej trzodzie nie zainstalował.

Od tej chwili chłopska sierota poczuła w sobie jakąś wyższość, a poczucie to wypłynęło z kontrastu pomiędzy nią a powierzoną jej pieczy trzodą. Złe i brudne instynkta nierogatych czworonożnych budziły w Fediu wstręt i pragnienie oddalania się od nich jak najbardziej. Czysciejszego, ochędoźniejszego pastuszkę świń, jakim był ojciec Kseni, trudno znaleźć. Był on czysty i ochędożny dla tego że się nierogaczina walała. Ona lazała w błoto, on błota unikał — ona ryła się w ziemię, on się nad ziemię wznosił. Nie lubił swoich podwładnych i litował się nad nimi: bo tkliwe jego serce płakało nad tem, co mu się wydawało ułomnością natury, dziwactwem jakiegoś przypadku, który nad takimi brudnemi, brzydkimi, chrząkającemi stworzeniami, rozpiął takie śliczne niebo, zapalił takie wspaniałe słońce, zasiał gwiazdy, zawiesił księżyc, który je otoczył zieloną przyrodą, napełnioną czarami rozwijającej się, kwi-

tnącej, szemrzącej, szeleszczącej, szumiącej i śpiewającej harmonii. W harmonii tej chłopak się rozkochał. Najmilej mu było w polu, sam na sam z naturą, pędzić czas na rozmowie ze Stwórcą, nie wiedząc z kim rozmawia. Pośrednikami tój rozmowy były: trawki, zioła, drzewa, skowronki, słowiki, chmury, gwiazdy — wszyscy polni, leśni i podniebni muzykanci, śpiewacy i figuranci wchodzący do olbrzymiego chóru natury — do chóru do którego i on westchnieniem, myślą, zachwytem a nawet głosem się przyłączał. Wówczas zapominał o swojej trzodzie; — ta szła w szkodę — i biedny entuzjasta skórą płacił za rozkosz, jakiej mu natura *gratis* dostarczała. Fedia jednakże to niezrażało: jak Mitridates do trucizny, tak on do ekonomskich przyzwyczaił się batogów, rad że takim tanim kosztem kupował wolność na dwadzieścia cztery godzin. Wydostawszy się w pole, w lasy, zapominał o bólu, puszczając trzodę na grzyby, korzonki i żołądź, a sam rzucał się w najgęstszą i najbujniejszą trawę, gdzie go otaczało mnóstwo gości, znajomych, przyjaciół — much, bąków, koników, żuków, komarów i tych drobniuchnych muszek, których latem pełne zdaje się być powietrze. Tam był jak we własnym domu. Gospodarzył, toczył długie ze starymi znajomymi rozmowy, a nowych — np. rzadkich jakich chrabąszczów lub szczególnego kształtu i koloru muchy — pozdrawiał, witał i w gościnę na dłuższy czas zapraszał.

Tak mu upłynęły: wiosna, lato i jesień. Przez ten czas najmniej trzydzieści razy dostał w skórę. Tysiąc

na jego miejscu, albo by się całą duszą oddali trzodzie, albo by na wszystko plunęli i w świat drapnęli. Fed' nie zrobił ani jednego ani drugiego. Nie nabrał przywiązania do świń, bo zawsze stała mu w oczach ogromna ich niższość od słowików, skowronków, przepiórek, krasek etc., nie drapnął, bo nie wyobrażał sobie aby za Horbaczówką mógł istnieć inny świat. Widomy widokrąg, we środku którego stał, zdawało mu się, że to granica świata i zarazem granica Horbaczówki — granica którą ekonom, od jednego końca do drugiego, wzdłuż, wszerz, we wszystkich kierunkach i zakątkach, każdej chwili okiem ogarnąć może. Nie widział więc sposobności ukrycia się przed groźnym ekonomem, a żał mu było Horbaczówki. Więc pozostawał — pozostał do zimy, a zimą w łosie jego zaszła zmiana. Z pastuszka świń został kredencierzem — to jest, chłopakiem do pomywania talerzy i półmisek.

Był to awans w pospolitem stanowisk społecznych rozumieniu. Z pastuszka zostać kredencierzem, pomywać a przytem polizywać półmiski i talerze: nie jednymuby się to podobało. Fedia zajęła nowość; podobały mu się zrazu, ubranie pańskich pokojów, meble, malowanie na półmiskach i talerzach. To jednakże nie długo trwało. Prędko się rozczarował i zateśknił za swobodą w polu i lasach, za swojemi skrzydlatemi przyjaciółmi, znajomemi i gośćmi, zateśknił nawet za świniami, które mu się milszemi, przyzwoitszemi i lepszemi niż familja państwa Bałabońskich wydały. Nie pochlebnem to jest dla państwa,

panien i panicza Bałabońskich. Cóż robić!... może to nie było tak, ale tak się wydało Fediowi, który na swoje największe nieszczęście w tym samym roku, miesiącu i tygodniu co panicz się urodził.

Na swoje nieszczęście, — bo rówieśność jego ze Stasiem stała się powodem, że jeszcze, mimo woli i ochoty, o jeden stopień wyżej w hierarchji społecznej się podniósł. Z kredencera postąpił na chłopca do usług u panicza i pojechał z tym ostatnim do szkół.

Pojechanie jego jednakże do szkół, nie oznaczało bynajmniej aby się tam miał uczyć. Przeciwnie — pojechał po to, aby się nie uczyć. Funkcją jego było: czyszczenie butów i sukien paniczowskich i spełnianie rozkazów młodego dziedzica, na skinienie. W stosunku więc do gustów swoich, spadał biedny Fed coraz niżej, chociaż z boku patrzącym wydawało się, że się coraz wyżej podnosił. Ekonom np. horbaczowiecki utrzymywał:

— Ten huncwot z czasem chleb mi odbierze...

Obawa ta ekonomy, a był nim (trzeba wiedzieć) ojciec panny Leokadji, nie była ze wszystkim płonąją. Fed bowiem, niechcący a ukradkiem, nauczył się czytać i pisać.

Nauczył się on jeszcze i czegoś więcej. Przez ciąg czterech z czemś lat pobytu z paniczem, pomimo iż oficjalnie nauk nie pobierał, do klass nie uczęszczał, książek nie posiadał, naukowej pomocy nikt mu nie udzielał, — pomimo to wszystko jednakże wyprzedził panicza, i daleko, zostawił go za sobą. Wyprzedził on i wielu innych paniczów, bo

nauczył się takich różnych rzeczy których w szkołach nie uczono, a które jednakże, chociaż niepotrzebnymi się nazywają, niepotrzebnymi nie są. Wszystko co na polu wiedzy zdobył, opronienik uczuciem, tak że każda z tego rodzaju zdobyczy wyglądała w jego umyśle, niby otoczona świetlaną aureolą, która wytryskała mu z serca. Z tego powodu, to co umiał, umiał po swojemu, odnosząc co umiał dopewnych praw dobra i piękna, które sobie wyrobił sam. I trzeba go było pozostawić na tej drodze samoistnego rozwoju. Byłby został *człowiekiem*. Byłby może prześcignął i ekonoma i panicza i pana i wielu ekonomów, paniczów i panów; byłby może całą głową wyżej stanął nad tłumem, gdyby nie smutne położenie, w jakim los kazał mu się urodzić.

Ekonom, panicz i pan nie wiedzieli co Fed' umiał. Wiedzieli tylko że nauczył się czytać i pisać i że ze szczególniejszem zamiłowaniem garnie się do książek.

— A, cham !... — chórem krzyknęli.

Trzeba wiedzieć, że prym w tym chórze trzymał ojciec panny Leokadji, któremu o własną chodziło skórę. Chórowi temu zgodnie zawtórowali Staś i pan Bałaboński, a każdy z innego powodu. Staś był obrażony, pan Bałabński oburzony; pierwszy dla tego, że w kilku wypadkach spotkał się z honorowością swego — jak go nazywał — chłopca, który ośmielił się karcieć niehonorowość paniczowskich wybryków, drugi dla tego, że obawiał się narażać w sąsiedztwie na szwank swoją reputację i skompromitować się. Ten ostatni twierdził

— Co to !...mości dobrodzieju !... gotowi jeszcze powiedzieć, że ja moich chłopców na literatów kieruję!...

Ta myśl do tego stopnia go oburzyła że jak tylko w umyśle jego się pojawiła, kazał Fediowi „wyrznać„ (wyraz techniczny) piędziesiąt batogów.

— Batogami mu książki z głowy wypędzę!... ho ho!...

Prawda, że w to potomkowie nasi nie uwierzą?— A przecież zdarzenie tego rodzaju jest najprawdziwszą prawdą, która często — niestety! — zbyt często się powtarzała i spowodowała to naprężenie stosunków pomiędzy dwiema najważniejszymi klasami naszego społeczeństwa.

Na batogach się nie skończyło. Fed poszedł do pługa, pod bezpośredni ekonomo dozór, a po kilku latach terminowania przy bydle i roli, został z nakazu ożeniony, osadzony na gruncie i obłożony pańszczyzną.

Z łatwością wyobrazić sobie możemy, w jaki okropny stan postępowanie takie wtrąciło biednego Fedia. Zrazu stawiał się ostro, ale to pogorszyło jego położenie. Następnie wpadł w pewien rodzaj niemiej rozpacz i na wszystko zobojętniał. Ciało jego stało się pewnem rodzajem martwego kloca, o który bez wrażenia obijały się trzydziestki i piędziesiątki, któremi go hojny ojciec panny Leokadij najmniej dwa razy co tydzień, traktował.

— A co — pytał niekiedy tego ostatniago pan Bałaboński — jakże tam literat?...

— Niczego — odpowiedział zapytany. — Nygus i leń, ale ja mu literaturę wypisuję na skórze...

Biedny Fed' wpadł w rozpacz f zobojętnie, z których wyprowadzały go niekiedy dwie rzeczy: skrzypka i wódka. Ze skrzypką oswoił się, kiedy był z paniczem w szkołach; — wódka sama go znalazła i stała się dla niego pocieszycielką w utrapieniu.

Mój Boże!... iluż to Fediów Bałabońscy o rozpacz i pijaństwo przyprawiali!.. ile to grzechów śmiertelnych popełnili oni.

Grał biedny Fedio i pił, ile razy tylko się mógł skrzypki lub kieliszka dorwać.

Wgraniu jego, w zacięciu smyczka, było coś dziko smutnego. Jakaś bolesć, ujęta w tony swoich melodi, lała się ze stron i tęsknotą serca słuchaczów napełniała. Zdarzało się, że Fed' grywał w karczmie. Zaczynał zwykle od tańców—kozaków i szumek— a kończył fantazyami własnego wymysłu, cudnemi improwizacyami, które psuły humor parobkom i dziewczkom, na tańce zebranych. Ci jedni wpadali w zadumę i słuchali, drudzy szemrali, mówiąc. .

—Ot, już!... Fed' głowę stracił...

Zkąd poszło jego przezwisko: „Bezhołowy„.

Fed' Bezhołowy, ożeniwszy się, albo raczej zostawszy ożenionym, w jedynym celu pomnożenia liczby poddanych, i poszedłszy na własne gospodarstwo, o niczem mniej nad gospodarstwo nie myślał. Zona robiła za niego wszystko, a on wykierował się na muzykanta i pijaka z profesji. Chodził po karczmach i karczemkach, upijał się i grywał, grywał

i upijał się. Była jednakże pora, w której ustatkował się, a to kiedy mu żona powiła córkę. Ojcowskie uczucie odezwało się w pijaku. Przywiązał się do dziecka dla którego stał się ojcem — nianką — przestał włóczyć się po karczmach, przestał i grać, i tylko pieścił, holubił i doglądał swoją Ksienię która jak najpiękniejszy kwiat, rosła i rozkwitała. Własna jego chłopięca przeszłość, jakby nanowo odżyła. Stał się niby rówieśnikiem córki. Wyprowadzał ją w pola, w lasy, stroił ją w kwiaty, sadzał w trawy i zioła, zapoznawał z dawnymi swojemi przyjaciółmi, znajomymi i gośćmi i do snu przy śpiewie skowronków, przepiórek i słowików, przy brzęczeniu owadów i szumie liści, kołysał. I rozповідаł jej, rozповідаł o dziwnych dziwach. Ale w opowiadaniach jego znać było umysłowy roztrój, objawiający się tem, że nie było w nich porządku i związku. Skakał z przedmiotu na przedmiot, — jednego nie skończył, drugie zaczynał i osnuwał wszystko poetyczną pajęczyną, rozpiętą na podaniach, legendach, kaskach, dumach i pieśniach. Wyobrażenia dziewczyny karmiła się najczystsza poezją — fantastyczną, improwizowaną, dziką, rzuconą na połowy w rzeczywistości, na połowy w idealny świat.

Stateczność Fedia trwała póty tylko, póki pewnego poranka nie zapukał do okienka jego chaty essała i nie powiedział mu lakonicznie rozkazującym tonem:

— dziewczyną do dworu!..

Oznaczało to: zabierz dziewczynę i idź z nią do dziedzica, który z nią zrobi co mu się spodoba.

Było to dla Fedia to samo, co dla znajdującego

się pod sądem wyrok śmierci, Oslupiał, gdy mu w uchu wyrazy essaula zabrzmiały. Zrozumiał on ich znaczenie. Ksenia miała podówczas dwanaście lat, to jest była w tym wieku, w którym dziewczyna, zwłaszcza wiejska, dochodzi do rozdroża w dwie strony prowadzącego: może pojsć albo drogą obowiązku, albo drogą zepsucia. Wybór częstokroć nie od niej zależy: najczęściej od czuwania, od opieki, od przykładów. Czuwanie, opieka i przykłady matczyne i ojcowskie są jedyną rękojmią cnoty. Czuwanie zaś, opieka i przykłady dworskie, są... — — nie chcę powiedzieć czém, bo by się na mnie dużo ludzi obraziło. Dość że Fed^o wezwanie do dworu z córką uważał jaką największe swoje nieszczęście i próbował je odwrócić.

Nigdy ojciec naszej bohaterki o nic nie prosił, nigdy się przed nikim, wyjąwszy Boga, nie upokarzał. W tem pokładał cały swój człowieczy honor. Tylokrotnie smagany, nie modlił się do oprawców, nie błagał, nie jęczał. Zacinał zęby i przyjmował chłostę z myślą:

— Zabij!... nie wyciśniesz ze mnie ani słowa żalu ni skargi.... ani jednego jęknienia, które by ci dało poznać, że mnie boli... które by cię tem poznaniem ucieszyło!... Będę milczał i milczał... do śmierci... Złamał jednakże to postanowienie, gdy zagrożonym został w osobie swego dziecka. Poszedł do dworu — i prosił. Prośba nie pomogła: padł więc przed panem i panią na kolana i błagał—modlił się do nich jak do Boga:

— Nie zabierajcie mi dziecka, nie pozbawiajcie mnie córki..

Pani śmiała się. Pan brwi namarszczył, nogą tupnął i krzyknął:

— Won!... Dziewczynę zostaw, a sam na oczy mi się nie pokazuj, bo!... Rozumiesz?..

Wcale niepotrzebnem było zapytanie: „rozumiesz?” Bez tego zapytania zrozumiał Fed', że prosił, błagał, modlił — na próżno. Jęknął westchnieniem z głębi piersi, wstał z klęczek, zgrzytnął zębami — i poszedł prosto do karczmy.

W tej chwili skończyła się jego stateczność. Rozpił się na zabój. Z człowieka, obdarzonego wszystkimi człowieczeństwa warunkami, zrobiło się bydlę, które zapomniało o wszystkim, nawet o własnem, ukochanem dziecku. Po upływie półgodziny po wyjściu ze dworu, Fed' nie był już w stanie poznać córki: tak mu się w głowie i sercu zamąciło. Pił i pił — lał w siebie gorzałkę, oto była cała jego pociecha, całe szczęście. Postać jego potłuczona, okryta guzami i sińcami, osłonięta łachmanami, wydawała ruinę człowieka, który już dla niczego i nikogo nie żył tylko dla siebie i wódki.

VI.

Z opisu w poprzednim rozdziale Fedia, najniezdomyślniejszy czytelnik poznał zapewne, że ojciec naszej bohaterki przyszedł na świat, obdarzony przez Opatrzność poetyczną naturą, którą w nim zabiło poddaństwo, — przyszedł posiadaczem Bożej iskry, którą utopił i zgasił w gorzałce. Że temu nie był winien on — na to zgodzi się ze mną najzawziętszy poddaństwa wyznawca, a zgodzi się nie tylko u nas, ale nawet tam, gdzie dopiero o poddaństwo i pańszczyznę toczyła się zacięta wojna, gdzie bohaterstwo tysięcy walczyły i ginęły o utrzymanie plantatorskich praw, zależących na podzieleniu ludzi na bydło: bydło dozorujące i bydło dozorowane, albo używane i używane, albo smagające i smagane, albo... etc. Plantatorowie południowych Stanów Zjednoczonych i nasi dziedzice, wielce byli do siebie podobni, bo i z rzemiosła i z cery. Murzyni i nasi chłopci, podobni dawniej pańszczyznianem rzemiosłem, różnią się cerą, a zatem gatunkiem swojej człowieczeńkości, będącej co do joty taką samą jak i dziedziców. W Ameryce, jeden rodzaj ludzi trzy-

ma w poddaństwie drugi, odmienny; — zkaąd wniosek: że jeżeli trzymający zabijał w trzymanym, a zatem i w sobie, człowieczeńskość, to mniejszy miał grzech przed Bogiem i własnem sumieniem niż u nas, — bo tam, z pewną do słuszności pretensją, wydawać się może: że człowiek czarny stworzony jest do niewoli, a biały do panowania — a to dla tego, że czarny bardziej zbliża się do małpy, przez małpę do psa, przez psa do kota, przez kota do owcy, przez owcę do wołu, konia, wielbłąda, osła, etc. etc..., naturalnych człowieka poddanych.

U nas ten wniosek miejsca mieć nie mógł. U nas pan i poddany, czyli szlachcic i chłop, tak wyraźnie z jednej ulepieni byli gliny, że patrząc na nich spokojnie a bezstronnie, nie można było w fackie istnienia tych społecznych odróżnień nie widzieć obrzydliwości, a w racyi bytu grzechu, który kamieniem nasumieniu naszym społecznem ciężył. Bo, nie jestże grzechem, zabijać w człowieku człowieczeńskość? — nie jestże to morderstwo, przynajmniej równe temu, jakie prosty zbój na publicznej drodze dla pieniędzy popełnia?... — I tu morduje człowiek człowieka, bliźni bliźniego, brat brata... dla pieniędzy. Pan Bałaboński zabił Fedia. Różnica, jaka pomiędzy prostym zbojem a panem Bałabońskim zachodziła, była ta: że co pierwszy czynił w tajemnicy to drugi jawnie, za co pierwszy drżał ze strachu przed karą i doznawał zgryzot sumienia, to drugi uważał ją o rzecz, nie tylko godziwą, ale nawet dającą mu prawo do obywatelskiej zasługi. O, iluż to, niestety! Bałabońskich, takiego samego

nabyło prawa! na taką obrzydliwą zasłużyło pochwałę!... iluż to Fediów dla społeczności zginęło!...

Naiwność pana Bałabońskiego, do tego posunięta była stopnia, że ani się domyślał, iż to on sam był powodem zguby znaczniejszego człowieka, który żyjącym trupem z karczmy do karczmy się wałęsał. Mówiąc o Fediu, wyrażał się krótko:

— Łajdak!...

Nie widząc w grzesznej swojej prostocie, że ten wyraz, jak kule odskakiwał od Fedia i spadał na jego głowę. Spadał tém pewniej, iż p. Bałaboński, zgubiwszy Fedia, wziął się do gubienia tego, co go jeszcze uratować mogło: — odebrał mu córkę — i odebrał ją z tak spokojnym sumieniem, jakby szło o spełnienie dobrego uczynku. I poczytywał to sobie doprawdy za dobry uczynek. Kiedy Fedia z przed oczu swoich wyrazem „won!” wypędził, przywołał Ksenię, drżą cą i rozplakaną i tak do niej przemówił:

— Ojciec twój, pijak, próżniak i zuchwalec... pójdzie wkrótce z torbami po żebrach... Wziąłem cię do dworu, żebyś się nie rozpróżniaczyła i nie rozłajdaczyła... Szanuj się, słuchaj: będzie ci dobrze...

Obecna tej przemowie pani Bałabońska, potrząsała swoim zwyczajem głową i roześmiała się, a śmiech jój miał w sobie coś takiego, jakby był szatańskim wtórem moralnej nauce, którą pan Bałaboński wygłosił.

Ksenia odziedziczyła po ojcu poetyczną naturę. Boża iskra, którą ten zalał w sobie wódka, od naj-

pierwszego dzieciństwa zadrgała w niej życiem, zaświeciła jej na czole i w oczach. Ją należało albo kształcić sumiennie — odsłonić przed nią świat dobra i piękna, — albo zostawić samej sobie, niechby się rozwijała jak kwiat stepowy, bożą rosą podlewany i bożem słońkiem wygrzewany. W jednym i w drugim razie, droga którąby poszła, byłaby prostą, prowadzącą tam, gdzie ją serce i wyobraźnia ciągnęły. Zabranie do dworu, było dla niej tém samym, co podstawienie nogi rozpędzonemu z góry człowiekowi. Jeszcze, gdyby to był dwór taki, jak to przecie dwory bywają — dwory, w których pan jest patriarchą, panem i ojcem całej rodziny, dzierżącym jedną i tę samą miarę sprawiedliwości dla wszystkich — dla dzieci i sług, — w których pani jest matką — aniołem dla wszystkich i wszystkiego co się gromadzi pod skrzydłem jej opieki. W horbaczowskim jednakże dworze było nie to. Ksenia, dziewiczy kwiatek, dostała się pomiędzy osty i chwasty; Ksenia-aniołek wpadła do jaskini zepsucia.

Nie gniewajcie się na mnie panowie Bałabońscy, że domy wasze, bez ceremonii, nazywam „jaskiniami zepsucia.” Bo przyznajcież sami: nie jesteście tak?... — Macie córki najgorzej wychowane i napełnione pretensjami; macie synów z najgorszymi narowaniami, najgrawających się z czei drugich, a zatem pozbawionych czei własnej. Te córki i ci synowie zajmują względem wszystkich domowników stanowisko przykładu. Są to żywe wzory, zwłaszcza we względzie obyczajów. Wzory te działają na domowników, przez tych na wiesniaków — szerząc do koła zarazę.

Nie sąż dwory takich panów Bałabońskich, „jaskiniami zepsucia,” fabrykami, w których wyrabia się obyczajowo-społeczna trucizna, zatruwająca najzdrowsze społeczeństwa soki?...

Ksenia, od pierwszego przekroczenia dworskiego progu, otoczona została atmosferą zgorszenia. W sferze służbowej spotkała się z nieprzyjaznością i niewiarą dla państwa, w sferze pańskiej, z egoizmem i niesprawiedliwością. Poezya jej padła na grunt grubiej jakiegś i obrzydliwej prozy, która ją napawała niepojętym wstrętem.

Ten to wstręt był dla niej deską zbawienia. Nie rozwinęła się w niej poezya, ale i zepsucie nie wkra-dło się do jej duszy i czystego serduszka. Wstręt do złęgo otoczył ją puklerzem, którego przebić nie zdołały ani przykłady, ani pokusa.

Przykłady obiegły ją pod postacią starych, nieszanujących ani swęgo wieku, ani położenia, ani (jeżeli starość panięńska ma być nieszczęściem) nieszczęścia panien. Pokusa zaatakowała ją w postaci panicza, którego zafrapowały sliczna twarzyczka i cudna postać jego poddanki.

Jak ona bronić się musiała przykładom i poku-sie — o tem, przez szacunek dla białęgo papieru, rozpisywać się nie będę. Panny, co mnie czytać będą, umięjące odróżniać złę od dobrego, wiedzą ja-kiemi to sposobami pokojówki ich rozwijają w sobie skłonności do kłamania, udawania, mizdrzenia się, podsłuchiwania, próżnowania, etc. etc. Panicze wie-dzą, jak to nie raz trudno złamać upor prostęj dzie-wczyny — jak to ona stawić musi opór krzykiem,

pazurami i zębami — jakie to ona znaki paniczom na twarzy i ciele zostawia. Poznaczony w ten sposób Staś, splunął ze złością i powiedział o Kseni:

— Niech ją wszyscy djabli porwą!...

Było to dla bohaterki naszej zbawieniem. Instynktowym wstrętem odparłszy wpływ przykładów a pazurami i zębami pokusę, pozostała niepokalaną i samotną — i obojętną na wszystko co się około niej działo, — obojętną aż do chwili, w której po raz pierwszy w życiu ujrzała Gabrysia.

Samotność i obojętność Kseni oznaczały, że ona, jak ślimak za dotknięciem obcego ciała, zamknęła się w sobie, — i w sobie, na tém tle poetyczném, jakim Opatrzność jej duszę obdarzyła, snuła tkanekę cudnych marzeń.

Któżraź dziewczyna nie marzy, a tém bardziej taka jak nasza Ksenia?... Marzenia bohaterki naszej tem były cudniejsze, im obrzydliwszą była otaczająca ją atmosfera, a to dla tego, że w jej wyobraźni działało prawo kontrastu. Stworzyła ona sobie świat, w którym wszystko było piękném, barwném, czystém, zwierciadlaném, jasném, w którym wszystko nosiło na sobie jej odbicie. W tym świecie żyła i kochała — w nim widziała Gabrysia daleko pierwiej, zanim on do Horbaczek po bułańca przyjechał.

To też dziwne na niej zrobił Gabrys wrażenie: jakieś i radosne i smutne, zachwycające i do ziemi przygniatające. Ksenia nie mogła sobie rady dać: — stłukła szklankę i przytomność straciła — i po przejściu pierwszego wrażenia, przychodziła do siebie, jak po omdleniu powoli. Szczęściem dla niej, pań-

stwo, panicz i panny, zajęci byli gośćmi: więc miała czas do ochłonięcia i wypryztomnienia. Ale od téj chwili przestała już być samotną. Świat jój barw i blasków, fantastyczny i niewyraźny, wyrojony i ni-by senny, ożywił się naraz obecnością wyraźnej postaci. Ksenia — pokochała.

Pokochały Gabrysia wszystkie panny Bałabońskie; ale jakże ich kochanie różném było od Kseniego!... One widziały w nim dziedzica Orkiszówki, przy którym dobrze, wygodnie i zaszczytnieby było w roli małżonki figurować; ona widziała w nim bohatera swoich poetyczno-dziewiczych rojeń, białego anioła, na którego ramieniu chciałyby ulecieć—het—gdzieś — nad chmury, pod słońce, i utonąć w promiennej, płomiennéj kąpieli.

Spytacie: z kąd w chłopskim dziecku gust podobny?... Spytajcie raczój: dla czego Pan Bóg stworzył ludzi, tak jak stworzył, obdarzając ich delikatnością uczucia, bez względu na sferę społeczną, w jakiej się rodzą?...

Nikt o tém ani wiedział, że ona go pokochała. W tym względzie, nawet dla Kseni wyjątku robić nie można. I ona nie domyślała się, co za gość do jój serca zawitał. Złapała się biedaczka, jak ta rybka na wędkę, goniąca za robaczkiem. Robaczkiem dla naszej bohaterki była jój poetyczność, wędką—Gabrys.

Gabrys — zdaje się — jakby przeczuł swoje wędkowe znaczenie. Ksenia, jak wiemy, wielce mu się podobała,—ale tylko się podobała, jak wędce rybka. Moglibyśmy powiedzieć nawet, że ją pokochał, lecz

z dodatkiem „jak wędka rybkę“—to jest, iż całym jego kochania celem było: zahaczyć piękną dziewczynę. Zahaczyć—i nic więcej. O resztę—t. j. o następstwa, o całe jej i swoje życie, o jej i swoje serce—troszczył się tyle co o przeszłoroczny śnieg. To mu jednakże bynajmniej nie przeszkadzało, roić po swojemu, tkankę rojeń rozpinając na kilku francuzkich, będących podówczas *en vogue* romansach. Bardzo by mu się podobało, gdyby bohaterka nasza mogła być jakąś heroiną. np., naksztakt *Fleur de Marie*. Ale, jeżeli by to być nie mogło, to:

— *Va pour la pokojówka...* — wyrażał się nasz bohater.

Nie był wcale wybrednym. Księżniczka i pokojówka równoważyły się w jego wyobraźni i sumieniu. O ile bowiem pierwsza dogadzała paniczowskiej wyobraźni, o tyle druga ulżywała paniczowskiemu sumieniu. Złamać tę ostatnią, zmiąć, pobawić się nią, zdeptać i za drzwi wyrzucić: wydawało się Gabrysiowi — niczem. Wydawała się mu nieznośną jedna tylko rzecz, a to: że, ażeby ją do rąk dostać, trzeba było zachodów.

— Wiesz... — mówił razu pewnego do Mewy, który był jego w takich sprawach zwykłym konfidentem, plenipotentem i medjatorem, *vulgo*, antrmeterem—dałbym za tę szelmę najlepszego konia...

Mewa na to się uśmiechnął, wyrzucił kłęb dymu z pod wąsów, strzepnął cygaro i rzekł:

— Ba... gdyby nie inwentarze i panny...

Dla wytłumaczenia czytelnikowi odpowiedzi Mewy, powiedzieć potrzeba, że działo się to w 1847

roku, świeżo po zaprowadzeniu tak zwanych inwentarzy, mocą których utrudnionem zostało mienianie ludzi na konie i stawianie poddanych na karty. Wspomnienie o inwentarzach, wtrąciło Gabryśa w chwilowe zamyślenie, zakończone francuzkiem, z przyciskiem wymówionem:

— *Sacrebleu!*...

Mewa nogą kiwał i cygaro palił.

Gabryś z oznaką niechęci ramionami ruszył.

— Inwentarze jak inwentarze... — odezwał się w końcu—ale cóż pannom do tego?...

— To do tego...—odparł doradca — że panny wołałyby, abys którą z nich na konia zamienił... niekoniecznie na takich samych jak o Ksenię warunkach, ale z małym dodatkiem przysięgi na wierność i miłość małżeńską...

Gabryś głową rzucił, jak koń gdy go co zniecierpliwi i odparł:

— Et... to niepodobieństwo...

— Im niepodobieństwo jest większem, tem mniejszem pożądanie, zwłaszcza w przejrzałych dziewicach...—odrzekł Mewa sentencyonalnie.

— No, to cóż robić?...—zapytał Gabryś.

— *Tyszkom nyszkom...* podłazić jak student na wakacyach do kaczki...

Gabryś się zmarszczył.

— Hm!...—ciągnął mentor — inaczej nic nie poradysz... To przykre ale konieczne.

I po chwili milczenia dodał:

— Bodajto stare czasy... kiedyto można było taki towar najuczciwszym nabyć sposobem... Człek

się potargował, uderzył dłonią o dłoń sąsiada, zapłacił i mohorycz zapił... A teraz te gadania, te pisanie, te głupie propagandy wszystko popsuly...

I westchnął.

Westchnął i Gabrys.

Czy westchnienia ich jednakowego były mianownika? — o tem z całą pewnością powiedzieć nie umiem. Mewa wzdychał za starymi czasami. Za czém zaś wzdychał Gabrys? — tego może czytelnik z następujących jego słów się domyśli:

— A przecież muszę ją mieć, choćby mnie ta sztuka pół Orkiszówki kosztować miała...

— To za wiele...—podchwycił Mewa — tę rzecz można załatwić o wiele taniej...

— Naprzykład?...

— Dziewczyna mieć musi jakichś rodziców, jakieś *tiki* lub *diad'ków*... Dasz im parę wołów, krowę lub kilka rubli, a oni ci ją sami dostawią i do nóg ci się jeszcze pokłonią... I tylko pozostanie uciszyć esklandrę.

— A?... — zapytał Gabrys.

— Żeby nie mieć skandalicznego procesu o porwanie poddanki...—ciągnął Mewa—wsuniesz paręset rubli w łapę Stasiowi a ten podzieli się niemi z szanownym papą dobrodziejem i... końce w wodę:... rozumiesz?...

„Rozumiesz?“ zacytował Mewa wymówił ze znaczącym gościem.

Gabrys kiwnął głową na znak zrozumienia.

— Chodzi tylko oto, jak trafić do tych rodziców, *titek* i *diad'ków*.

— To najłatwiej... — odrzekł Mewa — Musisz mieć we wsi jakiegoś prawornego dziesiętnika, albo we dworze sprytnego kozaka... Rozkaż... obiecaj sto batogów... a oni ci, nie tylko rodziców i krewnych dziewczyny, ale nawet samego Bałabońskiego *in persona* z żoną i córkami sprowadzą... Ty nie znasz jeszcze sprytu naszych chłopów, zwłaszcza, jeżeli czują za sobą batogi... On się w nich rozwija jak odwaga w żołnierzach, których posyłają do boju, a za nimi harmaty kartaczami nabite...

Na te dowodne słowa, Gabrys mocno gwiznął. Bohater nasz gwizdaniem przywoływał służących. Wbiegło ich trzech na raz, a pomiędzy nimi jeden z opruszoną szpakowacizną głową, z zawiesistym wąsem, z seledcem za ucho założonym, w kozackiej liberji. Do tego ostatniego w te słowa odezwał się nasz bohater:

— Co ty wolisz, Johan, karbowańca czy batogi?...

— Karbowańca, jaśnie wielmożny panie... — była odpowiedź bez namysłu z ust rzucona.

— Masz rozum.. — rzucił ze swojej strony Mewa dobre batogi, ale karbowańce jeszcze lepsze. Nie daremnie twój pan ciebie z Iwana Johanem przeważał, choć ty z tym seledcem tak do Johana podobny jak pięść do nosa... Ale przezwisko dało ci rozum niemiecki i ten rozum połączyło z kozaczym sprytem... Założyłbym się, że ty się domyślasz, o co chodzi...

Kozak się uśmiechnął i wąs pogładził.

— Jest w Horbaczkach dziewczyna...

— Wiem... <http://rcin.org.pl>

— Ta dziewczyna podobała się twemu panu...

— I to wiem...—pochwycił domyślny kozak...

— Kiedy wiesz o jednym i drugim, to wiesz także i o tem, co trzeba zrobić i za co masz dostać albo batogi albo karbowańca...

Trzeba było widzieć, jakim głębokiej pogardy wyrazem strzeliło oko kozaka. Po twarzy jego przevinął się uśmiech, przebiegł i zawisł na chwilkę na ustach pod węsami, które lekko zadrgały. Czoło po kilka razy zmarszczyło się i rozmarszczyło. Na suchych policzkach szczęki drgnęły i lekkim ledwo znacznym cieniem rumieniec oblał twarz i czoło. Był to rumieniec wstydu, którego panowie nie znali i dla tego zapewne nie dostrzegli go na twarzy Iwana. Gdybyś bowiem dostrzegli, z pewnością Gabrys nie wyrwałby się z zapytaniem:

— Cóż?... kiedyż pójdziesz po dziewczynę...

— Pójdę, panie... — odparł kozak — ale nie po dziewczynę...

Ton, którym ostatnie te wyrazy były wymówione, drzał wyzywającym akcentem. Akcent ten dziwnie jakoś zadzwonił w duszy panu Gabrysiowi i panu Mewie. Gabrys zamilkł zmieszany. Mewa groźnie spojrział na kozaka, który temi powoli i z przyciskiem wymówionemi kończył wyrazy:

— i nie po korbowańce!... ale po... batogi!...

Ostatni wyraz z wydatnym przyciskiem wymówił. Ledwo skończył, z kanapy zerwał się raptem Mewa, poskoczył ku drzwiom z największą furją i wymierzył mu policzek. Kozak z miejsca ani ruszył. Po pierwszym policzku nastąpił drugi i trze-

ci, a potem dał się słyszeć dobitnie wymówiony przez Gabrysia i imponującym poparty giestem wyraz:

— Won!...

Iwan zrobił zwrot na miejscu, otworzył drzwi i zniknął,

Panowie obydwaj mocno byli zaperzeni. Pierwszy ochłonął Mewa.

— Widzisz... — rzekł — tak potrzeba z chamami... Bo tylko im zfolguj, to sobie rady z nimi nie dasz...

Gabrys chodził po pokoju wzdłuż i wszerz i nie odpowiadał Mewie, który dalej ciągnął instrukcję.

— Ty jesteś za miękki... Muszę ci to, mój drogi otwarcie powiedzieć... Jesteś za miękki... Byłbyś Johanowi puścił płazem, co? zuchwałstwo i nieposłuszeństwo... Więc ciebie wyręczyłem... Ale ty swoje zrób: radzę ci po przyjacielsku... coś obiecał, dotrzyмай, bo jeżeli nie dotrzymasz, twoi własni poddani będą z ciebie żartowali...

— Cóż mam dotrzymać?... — zapytał Gabrys opryskliwie:

— Każ Johanowi wyliczyć obiecaną porcję.

— Ależ to stary człowiek... dawny sługa.

— To nic nie znaczy... Rodzony twój ojciec, gdyby był twoim poddanym, musiałbyś z nim być konsekwentnym... Coś obiecał, dotrzyмай... Nagroda? to nagroda... Kara? to kara... Bo tu niechodzi o sentymenta ale o zasadę.

Każdy co to czytać będzie — pewny jestem — wzdrygnie się na te cyniczne wyrazy, a może i autorowi za złe mieć będzie, że takie brudy i ohydno-

ści na jaw wyciąga. Cóż ja temu winien! kiedy nie-
stety tak było!... Gabrys nie wzdygnął się, ani
zdziwił. Przeszedł się jeszcze parę razy po pokoju,
ochłonął nieco i dał rozkaz, który mu przyjaciel
jego doradził. Dał go spokojnie, jakby o jakąś fra-
szkę a nie o deptanie ludzkiej godności chodziło...
I spokojnie powrócił do treści rozmowy, przerwa-
nej przez „zuchwalstwo i nieposłuszeństwo kozaka“.

W rozmowie tej prym prowadził Mewa. Ukła-
dała się ona w sposób taki, iż niepodobieństwem
jest abym ją powtórzył — abym nią biały uczernił
papier. Powiem więc tyle tylko, że przedmiotem
jój była zawsze i do końca Ksenia, a rezultatem na-
stępujące Mewy słowa:

— Spuść się już na mnie, Gabrysiu... Biorę
wszystko na siebie... Dowiodę ci, że nie daremnie
mienię się twoim przyjacielem...

VII.

Muszę rzucić zasłonę na działania Mewy—zasłonę, ale nie nieprzejrzystą. Podniosę jeden jej koniuszek i pokażę czytelnikowi następujący obrazek, czekający na polskiego Hogarta pędzel.

Jedynemi i głównymi na tym obrazku postaciami, są dwaj ludzie o wyrazistych, ozdobionych strzępiastemi wąsami twarzach—nie starzy ale i nie młodzi, nie brzydcy ale i nie piękni, nie wielcy ale i nie mali. Podobnych im ludzi tysiące, miliony—kręci się po Bożym świecie. Postacie ich nie odznaczają się niczem szczególnem—przynajmniej na pierwszy rzut oka. Trzeba wpatrzeć się w nie głębiej i zajrzeć im w oczy, w to zwierciadło duszy. Ale potrzeba być doskonałym fiziognomii ludzkich znawcą: bez tego bowiem możnaby się oszukać—możnaby w tych oczach wyczytać to, czego w duszy nie ma, tem bardziej że na ustach postaci wisi ciągle słowo honoru, i jak honor kocham i na uczciwość i jakim uczciwy i tym podobne wyrażenia, używane do maskowania istoty rzeczy. Długo snadź honor i uczciwość były przez nie na różne sposoby

obrabiane, aż na koniec jedna i druga wyciągnęły ku sobie dłonie i złączyły je we wzajemnym uścisku, w takim jaki miewa miejsce pomiędzy kupującym a sprzedającym. Obraz ten możnaby zatytułować wyrazem: *Targ*.

— Więc zgoda — mówił pan Floryan Mewa do pana Eustachego Bałabońskiego.

— Zgoda — odrzekł ten ostatni.

— Będziemy czekali za ogrodem...

— Dobrze...

— A ty wyniesiesz?...

— Ale narobi wrzasku...

— Il... głupstwo!... Czyż nie wiesz, jak temu zaradzić?... Przygotuj sobie kłaków i burkę... Kłakami zatkasz pysk a burką głowę okręcisz...

— Dobrze — odrzekł Staś z uśmiechem. — A kiedy?...

— Za tydzień... może za dwa... Prędzej nie można, bo Gabrys ma teraz zmartwienie i kłopot w domu...

— Matka mu słyszę, ciężko chora?...

— Chora... Może baba nogi zadrze.

— Biedny Gabrys! — westchnął pan Eustachy z uśmiechem.

— I! — odparł Mewa i ręką machnął. — Przynajmniej ma się czem pocieszyć... Orkiszówka, choć odłużona, wystarczy jeszcze na jakiś czas.

— Orkiszówka?... odłużona!? — zapytał Staś ze zdumieniem.

— Poszła najprzód, na edukację jedynaka, a potem...

Tu Mewa rękę machnął i zamilkł. To bowiem co potém by powiedział, byłoby obwinieniem siebie samego. A pan Mewa nie był taki głupi, ażeby nie proszony, nie pytany, sam się miał obwiniać. Bo nawet z ręką na sumieniu, uważał siebie za rodzaj białego gołębia, który zbiera pomimo że nie sieje ani orze. Pan Mewa nie siał ani orał, ale zbierał. Co zaś u niego sianie i oranie zastępowało? — o to lepiej nie pytać; — a gdy zapytać, to pan Mewa miał odpowiedź gotową:

— Sposób dożycia, jak każdy inny... spekulacya...

— Na cudzą kieszeń?...

— A któż spekuluje na własną?... Własna kieszeń w każdego rodzaju spekulacyi gra rolę kapitału, który niekoniecznie powinien być brzęcząca moneta, a który jest niczem innym jak wabcem na procenta, dające się wabić rozmaicie... na gotówkę, na towary, na rozum, na dowcip, na talent, etc...

Pan Mewa posiadał talent służenia takim paniczom jak panicz Gabryś. Talent ten uważał jako swój kapitał, od którego z najspokojniejszym w świecie sumieniem pobierał procenta—i miał się za człowieka, nie powiem uczciwego, ale honorowego, a to zapewne dla tego, że honor w pojęciu podobnych do niego ludzi, posiada własność naciągania się elastycznie. Można go naciągnąć i zastosować do wszystkiego. Mewa zastosował go do swego fachu—i było mu z tem bardzo dogodnie. Demoralizował i rujnował młodego niedoświadczonego człowieka i miał siebie za pewien rodzaj Bajarda „sans peur in reproch”.

Gabrys, jak o nim w eleganckim świecie mówiono, rujnował się „avec la meilleure grâce au monde“. Połowa majątku poszła na guwernerów, a drugą połowę zjadali i rozdrapywali przyjaciele. Pierwszemu nie on był winien: — matka; ale ta, choć zblądziła, to przynajmniej w dobrej wierze. Zdawało się jej biedaczce, że dziedzica wielkiego imienia na wielkiego wychowuje człowieka. Postrzegła się, że rojona wielkość stała się więcej jak problematyczną, a to—jak utrzymywała—nie z powodu wadliwości wychowania, ale dla tego tylko, że Gabrys w nieodpowiedniej odebranemu wychowaniu żył sferze.

Tu musimy się wdać w pewne wyjaśnienie rzeczy.

Gabrys był szlachciem polskim, to jest, urodził się z naturą, skłonną zarówno do dobrego jak do złego — do dobrego jednakże, nie z tej wysokiej sfery, które przed ogółem stawia człowieka jako wzór do naśladowania, — do złego, nie tego wszakże z którego wyradza się zbrodnia. Cechowała go miernota, mogąca być nawet użyteczną, gdyby na dobrą skierowaną była drogę. Na zły, rozmiłowała się, najprzód, w próżniactwie — tej kapitalnej polskiego charakteru przywarze, a potem we wszystkich wygodnego, bo w pieniądze zaopatrzonego próżniactwa, wynikach. Dla wyników tych nie potrzebował nasz Gabrys gonić gdzieś daleko w świat, bo znalazł je pod ręką. Dla tego, kiedy po oddaleniu guwernerów, matka marzyła o Paryżu, Londynie, Wiedniu, Rzymie i Petersburgu, jemu

wystarczały: Kijów podczas kontraktów i Berdyczów podczas jarmarku. Przeważała w nim natura swojska. Kontrakty i jarmarki, konie i charty, przejażdżki i zjazdy, pochulanki i polowania, tak go zajęły, że zapomniał o wielkim świecie, na którym miał wykończyć naszkicowaną w Orkiszówce edukację. Zbierał się wprawdzie do Paryża—miał nawet w kieszeni paszport — ale zebrać się nie mógł. Po prostu, nie miał czasu.

Matka powiada:

— Gabrysiu, mon cher, jedź... Szkoda czasu...

— Pojadę—odpowiadał Gabrys.

I nie jechał.

— Czemu nie jedziesz?

— Niechajno...

Tak było od dnia do dnia. A tymczasem Mewa i jemu podobni wciąż Gabrysiowi kładli w ucho:

— Czego się masz spieszyć!... Paryż od ciebie nie ucieknie...

Im chodziło o to, aby Gabrys z niemi raczej stracił to, co miał stracić z jakimiś tam Francuzami. Pod tym względem byli oni patryotyczni — wmaiwiali w naszego bohatera przywiązanie do rodzinnej ziemi.

Znajdywał się więc nasz Gabrys pomiędzy dwoma parciami, wręcz sobie przeciwnymi, z których jedno go pędziło, drugie powstrzymywało. Było do przewidzenia, że jedno drugiemu ustąpić w końcu musi.

Jakoż ustąpiło—matczyne.

Dla pani X. wybiła chwila bolesna, straszna—chwila w której dowiedziała się o ruinie majątku.

Jak się ona o tem dowiedziała? — nad tem rozszerzać się nie będę. Świat napelnionym jest ludźmi usłużnymi, a ci uwiadamiają o wszystkim. A może zaanonsował się jaki proces, złowrogi rezultat w zanadrzu ukrywający. Może plenipotent wykazał bilans majątkowego plus i minus z przewagą na stronę tego ostatniego. Może pani X. sama się nieszczęścia domysliła. Nie wiem. Dość, że dowiedziała się o ruinie majątku — i to było dla niej ciosem strasznym, piorunowym. Biedna kobieta powaliła się, jak ta podrabana topola.

— Co się stanie z Gabrysiem? — było pierwsze zapytanie, jakie sobie sama zadała i które stanęło przed nią wcielone w jakąś przerażająco groźną postać.

— Co się stanie z Gabrysiem?—zawyło jej w duszy, ponocnem a nieszczęście wróżącym psów wyciem.

Biedna, nie odpowiedziała sobie na to pytanie;— ale raczej — owpowiedziała, ale wzręcz przeciwnie jak była powinna. W odpowiedzi, przedstawił się Gabrys, otoczony taką świetnością, jak gdyby tyśiąc Orkiszówek na własność posiadał. Jedynek jej był bogaty, rozumny, wielbiony. Biedna pani X. zanim zdołała zformułować sobie prostą i praktyczną odpowiedź, dostała gorączki, która ją na łożę boleści powaliła.

Chorowała nie długo, ale ciężko. Gorączka wprawiła ją w stan ciągłego delirium, w którym wciąż

bredziła o świetności jedynaka. W rzadkich, jaśniejszych przytomności momentach, radziła mu:

— Żeń się...

I uśmiechała się uśmiechem szczęścia. Bo stawiała się na miejscu swojej synowej—bo myślała sobie:

— Gdybym była panną na wydaniu, a Gabrys o moją oświadczył się rękę... o!... z jakąż radością oddałabym Gabrysiowi i mój majątek...

Dla niej Gabrys był ideałem młodzieńca. Ideał zaś jego narzeczonej łączyła zawsze z olbrzymim posagiem, który służył niby za ramy do obrazu przyszłego szczęścia jej jedynaka, i który się mu należał jako rzecz najzupełniej słuszna i najniezaprzeczeniej zasłużona. Ażeby go posag miał ominąć: o to była ona spokojną—nie przypuszczała bowiem, aby los mógł być tak oburzająco niesprawiedliwym.

Gdyby ta myśl przyszła była pani X. przed chorobą, z pewnością byłaby nie zachorowała. Ta myśl byłaby ją może uzdrowiła, gdyby nie...

Zatrzymałem pióro i zamiast napisania pewnego wyrazu postawiłem kilka kropek, pod którymi niech czytelnik domysła się co się mu spodoba. Zatrzymałem pióro, bo tylko co, niechcący, nie obraziłem stanu, zasługującego na uznanie i szacunek. Mogłbym się wykręcić *à la* Słowacki, i to gdyby nie, zamiast tego co miałam napisać i zamiast tajemniczych kropek, napisać... muchy. Trudniej jednakże przyszłoby mi się wykręcić z much: trzebaby bowiem było tłumaczyć się z tego, że pani X. byłaby wyzdrowiała, gdyby nie muchy. Zamiast więc ta-

kiego naciąganego tłumaczenia, które zakrawałoby na żart, i to w obec śmiertelnie chorej kobiety, powiem raczej bez ogródek, nie zwalając winy na nikogo, że pani X. byłaby wyzdrowiała, gdyby nie lekarstwo. Stało się to w sposób następujący: lekarstwa miały ją uzdrowić i myśl o szczęściu syna miała ją także uzdrowić. Dwa te uzdrawiające środki, połączywszy się w jedno, stworzyły środek za zbyt potężny, który ją zabił. Można przeto zarówno obwinić i lekarstwo i tę myśl co się w gorączce poczęła.

Lekarzy przy pani X. było dużo. Zjechały się wszystkie z Berdyczewa i Żytomierza znakomitości—radziły, radziły—naradziły mnóstwo pięknych rzeczy, które można było ku nauce kształcących się w sztuce Eskulapa drukować—i pani X. umarła.

Umarła z oczyma zwróconemi na Gabrysia, z wyciągniętą do niego dłonią, a ostatnim wyrazem jaki z ust jej wyszedł było:

— Żeń się...

Gabrys, w czasie choroby matki, okazał się synem czułym i troskliwym. W chwili jej śmierci pokazał, jak na wyemancypowanego człowieka przystało, stoicznie zimną krew. Nie rozpaczał, nawet nie zapłakał, przez co wzbudził podziw liczного grona pocieszycieli, którzy się na widowisko pogrzebu zjechali. Pomiedzy nimi przyjaciele byli w komplecie. Wszyscy spodziewali się sutego pogrzebu i nie zawiodło ich oczekiwanie.

Że pogrzeb był suty, o tem zaświadczyć może każdy co na nim był,—a było całe sąsiedztwo, nie

wyjmując obojga państwa Bałabońskich ze wszystkimi córkami, których jak zwykle jedna połowa stawiała się bez majtek a druga w majtkach, ale wszystkie zarówno w żałobie i wszystkie zarówno z jedną chęcią ofiarowania się na pocieszycielki osamotniałemu dziedzicowi Orkiszówki. Nie było tylko jednej naszej znajomej, panny Leokadyi. Ta jednakże znalazła się przy końcu, przed smętarzem: w Ryszkach bowiem, gdzie mieszkała, był parafialny kościół, a do tej parafii należała i Orkiszówka. Więc kiedy jęk wszystkich jakie tylko było w miasteczku dzwonów napełnił powietrze; kiedy do tego jęku przyłączył się odgłos pogrzebalnego marsza, ponurego, na wskrós jakąś mimowolną zgrozą przejmującego i wtórującego smutnym spiewom księży; kiedy cichy, ciemny, letni wieczór oświeciło raptem mnóstwo świateł, tak że w okna panny Leokadyi pomieszkania niby łuna pożaru nagle uderzyła, a na tle tego oświecenia zamigotały szeregi chorągwi: to matka panny Leokadyi, która w tej właśnie chwili pończochy usypiającej już córki cerowała, zerwała się ze stołka, w ręce z przerażeniem klasnęła i krzyknęła:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

— Chwali!... odkrzyknęła córka, wyskakując z łóżka w negliżu.

— Co to?!—zawołały obie razem.

I przykleiły się twarzami do szyb.

— A niech mnie pomsta weźmie, jeżeli to nie pogrzeb!—odezwała się pierwsza panna Leokadya.

— Pogrzeb!—zawtórowała jej matka.

— Ba!... ale, czyj?...

— Feško! Hapko! Horpyno!—rozległo się nagle we dworku wołanie, na które kilka zaspanych i rozczuchranych dziewczek wpadło do pokoju.

— Kogo to chowają?...

Dziewki ze snu, przerażone wołaniem pani i bijącą w okna pogrzebową wystawą, pozapominały języków w gębach.

— Kogo to chowają? — krzyknęła panna Leokadya.

Głuche milczenie było odpowiedzią na to zapytanie.

— Pójdźcie, kłepy, i zapytajcie!—był rozkaz surowym dany tonem i wyrazistym poparty gestem.

Na ten rozkaz zastęp dziewczek zniknął nagle, jakby pod ziemię się zapadł.

Napróżno przeto, znów panna Leokadya zwoływała służbę po imieniu i kleła, aż się dworek trząsał.

— Mogła była pójść jedna!... po co iść wszystkim?... kto mi poda ubrać się?...

Krzycząc, łając i klnąc, kręciła się po izbie, w kąciку której, z pończochą na kułaku, siedziała strwożona matka.

— Gdzie moje pończochy?!...

Staruszka wstała i odrywając pospiesznie nitkę, podała córce żądany przedmiot,

— Dziurawe?... nie pocerowane?... cóż mama przez cały wieczór robiła!...

— Co robiłam? — odpowiedziała nieśmiało matka.—Tadzież robiłam... Cerowałam taj cerowałam aż mi oczy już wylaża!...

— Ale nie powylażyły...

— Tadzże nie... Ale ty, serce Leosiu, bardzo wydeptujesz...

— Nu, taj co z tego, choć wydeptuję! — odparła sierdziejce córka.— Ta czyje wydeptuję?... mamine?... czy co?... Choć wydeptuję, to swoje... Mama mi nie dała ani złamanego szeląga... Mnie wolno wydeptać, to ja wydeptuję, wydeptuję, wydeptuję, wydeptuję i wydeptywać będę!... Wielka mi rzecz, że wydeptuję... To moje to ja wydeptuję, wydeptuję, wydeptuję...

Wśród tego gderania, kręciła się po izbie, ciągnąc na siebie wszystko, co jej pod rękę wpadło. A że czyniła to pospiesznie, drżącemi od gniewu i niecierpliwości rękami, więc spodnicę włożyła na wywrót, jakąś zarzutkę z kapiszonem do środka, trzewiki włożyła bez pończoch, włosy zgarnęła i wsunęła je pod żółty z czerwonymi kokardami kapelusz, zarzuciła na ramiona chustkę, którą skrzyżowawszy na piersiach związała na grzbiecie—i tak ustrojona wypadła na ulicę. Pomimo jednakże nadzwyczajnego pospiechu, z jakim się stroiła, trafiła na koniec orszaku pogrzebowego; wpadła pomiędzy pojazdy i konie panów i pań, które wysiadłszy pod miasteczkiem, dalszy pochód odbywały piechotą.

Wpadnięcie jej ten skutek sprawiło, że spłoszyło konie przy kilku pojazdach i sprawiło zamieszanie. Konie poczęły się rwać i skakać. Furmani kleli.

— Co za wid'mię z żółtą głową diabeł przy-

słał!—odezwał się jeden z nich, dodając przytem dosadne wyrażenia, których powtórzyć nie mogą.

Wyrażenia te wpadły pannie Leokadyi w ucho. Nie wątpiła że one do niej się stosują. Krew w niej zakipiała. Dłoń i język zaświerzbiały. Stanęła i—dalejże odcinać się. Furmani sadzili się na coraz dobitniejsze wyrazy, a ona na jeden odrzucała dziesięć, wrzeszcząc i językiem jak najszybszy pytel obracając, co bynajmniej do uspokojenia zżachanych koni przyczynić się nie mogło.

— Milcz! czarownico!—krzyknął nakoniec jeden z furmanów, podnosząc giętki bicz — bo cię tak skrobnę, że cię rodzona matka nie pozna!...

— A spróbuj no, mudiu! — odparła mu natychmiast, nadstawiając się i do powozu zaprzężonego czterma bułańcami z wyzywającą miną podchodząc.—Spróbój!... to z pod łóz nie wstaniesz!...

— A no! — odezwał się furman i zamachnął się.

— A no!—odrzuciła panna Leokadya.

I w tej chwili dostała przez twarz jedno z takich smagnień, od jakich koniom szerść się sypie.

Wrzasnęła i odskoczyła, — a odszedłszy na pewną odległość poczęła machać ręką i grozić palcem, wykrzykując:

— Poczekaj no! Johan!... ja ci pokażę!... Nie ujdzie ci to płazem!... Znam ja się z twoim panem!... Ja z nim za pan brat!... Ja z nim razem na pańskich pokojach na krzesłach siadam, a ty w stajni gnój wączasz!... Jak ja twemu panu pysk pokażę, to on tobie każe.....

Tu znów do kropek zmuszony jestem się uciec, bo panna Leokadya mówiła takie rzeczy, których powtarzać się nie godzi. Gniew wkładał jej w usta najnieprzyzwoitsze wyrazy i najstraszliwsze groźby: Gdyby te groźby w setnej spełniły się części, to stan furmański byłby najnieszcześniejszym, bo uległ by plagom, gorszym od tych jakie na Egipt Mojżesz onego czasu nawołał. Dodać należy, że do tego przyczyniła się w znacznej części ansa, jaką z dawniejszych wspomnień panna Leokadya do furmanów powzięła.

Z klątwami i groźbami na języku, przedstawiła się nasza bogaczka, mimo pojazdów, do szarego końca orszaku, a dalej do tej części w której bogato przystrojony katafalek, ciągnęło sześć karych w żałobnych kapach i strusich czubach koni, w której błyszczwały światła, świetniały ornaty, wionęły chorągwie i ciągnęły tłumy ukrepowanych pań i panów. Wysoki katafelek, konie w czubach, księża, światła, chorągwie, panowie, śpiewy, muzyka zaimponowały jej. Zapomniała na chwilkę o krzywdzie i bólu, usta jej otwarły się mimowolnie—słowem — zagapiła się i szła powoli, oglądając się co krok i wszystkiemu się przypatrując. Zrazu, nawał nowych, nigdy niewidzianych i niesłyszanych przedmiotów, otumaniał ją. Oglądała się i przypatrywała — i nic nie widziała. Lecz powoli zaczęło się przed jej oczyma rozjaśniać — zaczęła rozpoznawać przedmiot po przedmiocie, osobę po osobie. Przypomniała sobie, że chciała wiedzieć kogo to

chowają. Więc zbliżyła się do katafelku, za którym, w odległości takiej aby być jaknajbliżej Gabrysia, postępowały ścieśnioną gromadką panny Bałabońskie. Spozrzegła je panna Leokadya.

— Ach!... Saluńcia! Gencia! Fimcia! Fruzyńcia i Dosiuńcia!—zawołała—i wy tu!... a kogo to chowają?...

Panny Eu chciałyby jej nie słyszeć i nie widzieć, bo w oświeceniu odbił się jak najdokładniej dziwaczny jej strój.

— Kogo to chowają?—powtórzyła zapytanie i zamilkła, bo nagle, o parę kroków przed sobą ujrzała Gabrysia, ubranego w czerni i idącego ze spuszczoną głową tuż za trumną.

Widok Gabrysia przypomniał jej krzywdę, od jego kozaka doznaną. Zapomniała o pogrzebie,—krew w niej zawrzała, rozepchnęła panny Bałabońskie i postąpiwszy kilka kroków, które ją do Gabrysia zbliżyły, zawołała:

— Panie X.! patrz no pan!... o!...

Tu ukazała palcem na błękitny, na ukos przez twarz idący smug.

— To Johan mnie tak batogiem ćwioknął...

Gabrys się spojrzał na nią obojętnie. To ją rozwściekliło.

— Każ pan Johanowi sto łóz wysypać w maszarni!... sto, koniecznie sto!... Od stu nie odstąpię!—krzyczała.

— Idź do djabła! — półgłosem zniecierpliwiony burknął Gabryś.

— Do djabła! — wrzasnęła obrażona bogaczka — do djabła!...

I stanęła. Orszak pociągnął dalej. Panna Leokadya została. Zgroza ją w posąg zmieniła!

VIII.

Rok upłynął od śmierci pani X. Orkiszowiecki dwór stał się przybytkiem kawalerskim, w którym panował Gabrys a burmistrzował Mewa. Gdyby kto zapytał:

— Czy są w Orkiszówce kobiety?

Odpowiedziano by mu bez zajknięcia:

— Nie ma...

A przecież byłaby to nieprawda. Oprócz klucznic, podklucznic, szafarek, kawiarek, etc. według prawa natury niezaprzeczenie do rodzaju kobiet należących, ale według praw społecznych, nie liczących się nawet do rodzaju ludzi, była jeszcze jedna, nie służebna ani pani, ale kobieta. Gniazdko jej znajdowało się w zaciszy, oddalone od gwaru dworskiego. Było to prawdziwe gniazdko—ptasie mieszkanko, ocienione, ozielenione, malutkie, ciche, ukryte i niedostępne. Mieszkała ona w pokoiku, który taką grał rolę w orkiszowieckim dworze, jak sekretna kryjówka w szkatułce. Trzeba było być doskonale z labiryntem pokoiów i pokoików oswo-

jonym, ażeby go znać.—Zwyczajni goście o nim nie wiedzieli. Wiedzieli: słudzy, pan Mew i Gabrys,

W pokoiku tym ukrywała się tajemnica tego ostatniego—tajemnica, wiadoma całemu bliższemu i dalszemu sąsiedztwu, wszystkim bliższym i dalszym krewnym młodego dziedzica Orkiszówki.

Pomimo to jednakże, była to tajemnica, dla tego zapewne, że nikt o niej Gabrysiowi w oczy nie mówił. Na stronie gadało się o tem obszernie, ze szczegółami, dodatkami i komentarzami. Ale od wypowiedzenia wręcz—w oczy—jednych wstrzymywała przyzwoitość, drugich sąsiedzkie stosunki, wszystkich brak cywilnej odwagi. Dla tego tajemnica ta bezpiecznie spoczywała pod puklerzem powszechnej tolerancyi. W domach, gdzie były panny na wydaniu, papy dobrodzieje przyjmowali Gabrysia otwartemi ramiony, mamy dobrodziejki z wdzięcznym uśmiechem a dziewice z tem westchnieniem, w głębi którego dzwoni prozaiczno-poetyczna zwrotka: bierz mnie...

Przyjmowali go tak jednakże do pewnego czasu—póty póki nad głową dziedzica Orkiszówki nie zawisła czarna, piorunami brzemienna chmura. Chmurą był kolektywny proces—piorunami weksle.

Biedny Gabrys bronił się jak mógł i jak umiał. Dzięki kruczkom, w które prawodawstwo obfituje, udało się adwokatowi jego zatrzymać na jakiś czas pioruny. Lecz stan taki nie mógł trwać długo. Ruina majątkowa zbliżała się wielkimi krokami. Chodziło tylko o to: jaką ona będzie? — zupełną czyli częściową?—mówiąc inaczej: jak Gabrys skorzysta

z obrotności plenipotentą: czy umknie co z pod łapy wierzycieli? czyli też odda im wszystko co po ojcu i matce odziedziczył? — Pod tym względem zdania były podzielone. Jedni utrzymywali, że mu się nic nie zostanie. Drudzy twierdzili:

— Pana diabli nie wezmą... Niby utonie i z toni wypłynie z paru krociami...

W ten sposób opinia publiczna wyrażała się o stanie majątkowym Gabrysia, w rok właśnie po śmierci prezesowej.

Nie wiedząc o procesie i wekslach, z trybu życia w Orkiszówce nie możnaby się domyślić, jakie nieszczęście grozi właścicielowi pięknego domu. Wszystko w tym dworze szło po staremu, wyjąwszy tej jednej zmiany, że ubyła prezesowa a przybyła tajemnica.

Tej tajemnicy—zdaje mi się—nie potrzebuję domyślnemu odsłaniać czytelnikowi. Prowadziłem intrygę powieściową tak niezgrabnie, że wie on, jaki ptaszek mieszkał w ukrytem gniazdku. O jednym tylko może nie wie, a mianowicie: że ani fantazyja poetów, ani pędzel malarzy, ani dłuto rzeźbiarzy nie stworzyło nic piękniejszego, jak owa ani sługa ani pani, królująca pomiędzy czterema ścianami.

Wydarta państwu i pannom Bałabońskim i otoczona wygodami życia, Ksenia rozwinęła cały blask urody. Kibić jej wysmukła, twarz wybielała, rączki wydelikatniały. Stała się zachwycającą—a zachwycającą tem bardziej, że całą jej postać owie-

wał dziwny jakiś smutek, który patrzących na nią pobudzał do uszanowania.

Skąd ten smutek pochodził? Wszak Kseni było jak w raju. Jej pokoił taki był czysty i wonny i tak we wszystko zaopatrzony. Na niczem jej nie brakło. Miała ptaszki w klatkach i kwiatki w wazonach, a gdy pan wyjechał, co się bardzo często zdarzało, otworem dla niej stawały: obszerny dwór, piękny ogród, rozległe pola, łąki, las. Pomimo to wszystko, była bardzo smutną.

Prawdą jest, że gdy człowiek osiągnie czego pragnął, w chwili osiągnięcia rodzi się nowe pragnienie.

Ksenia pragnęła wydobyć się z horbaczowskiego gynecceum. Wydobyła się. Pragnęła...

Ot tu sęk: jak to drugie pragnienie określić. Pokochała Gabryśia. Lecz: jakim było jej kochanie? — bez nadziei, bez pragnienia — albo raczej z pragnieniem podobnem do tego jakie przejmują dziewczynę rozkochaną w jasnej gwiazdzie, do jej okienka z wysokiego nieba zaglądującej. Kocha się — w czym? — w gwiazdzie. Pragnie — czego? — alboż ona wie. Takie wypadki zdarzają się, zwłaszcza pomiędzy naszym ludem, dość wysoko poetycznie nastrojonym. Krążą nawet pełne poezji powieści, o romansach dziewcząt z latawcami (spadającymi gwiazdami). Taką przeto gwiazdą zaświecił Kseni nas Gabryś. Pokochała — zapagnęła — i z Horbaczówki przeniesioną została do Orkiszówki, pod skrzydło swojej gwiazdy kochanka.

Czegoż się smuciła?

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, potrzebuję zestawić niektóre daty, odnoszące się do niniejszej powieści.

Projekt wykradzenia Kseni urodził się w chwili, o kilka dni gwałtowną chorobę i śmierć prezesowej poprzedzającej. Wykonaniem więc tego projektu nie mógł się zająć Gabryś osobiście: raz przez wzgląd na przyzwoitość, powtóre, dla tego także, że w obec świeżego grobu matki, w sercu Gabrysia obudziło się to, co w nim było zagłuszone, to jest uczciwość. Był on złym sztucznie tylko, dzięki wychowaniu i towarzystwu. W głębi jego serca spoczywało dobre, które mogłoby być na wierzch wydobytem, gdyby na straży nie stał cały zastęp Mewów. Śmierć matki była wypadkiem uroczystym, przed którym uchylił czoła i powściągnął zapędy, rozwinięte na tle francuskiej romansowości, którą mu monsieur Pierrot wszczepił.

— A co?—zapytał go Mewa, w kilka dni po pogrzebie.

— Co?—odparł zapytaniem Gabryś.

— A Ksenia?...

Gabryś ręką machnął, z oznaką zaniechania projektu.

Jak Mefistofeles jednakże nie puszczał Faustowi płazem zwrotów do cnoty, tak Mewa nie puszczał Gabrysiowi.

W kilkanaście dni później powtórzył zapytanie i powtórnie otrzymał machnięcie ręką w odpowiedź. W parę miesięcy potem, zaproponował Gabrysiowi przejażdżkę do Horbaczek.

— Po co?—zapytał ten ostatni.

— Ot tak... dla rozrywki... dla naśmiania się ze starego, ze starej, z sześciu nimf i z poczciwego Stasia... i dla popatrzenia na księżniczkę zaczarowanego zamku.

Gabrys znów ręką machnął.

— Cóż to?... czy nie myślisz na anachoreta się wykierować?

— Nie to... ale... o—bąkał Gabrys—jakoś mi się nie chce...

— Zagryziesz się Gabrysiu... jak honorkocham—rzekł Mewa tonem przyjacielskiej wymówki.—Tak nie można... Na to nie pozwolę, jakem twój przyjaciel...

— Jak chcesz... a do Horbaczek nie pojedę—odrzekł Gabrys stanowczo.

— To nie jedź, kiedy nie chcesz... Daj mi trzysta rubli...

— Na co?

— Na co?... nie pytaj, tylko daj mi trzysta rubli.

— Dla ciebie?

— Dla kogo? nie pytaj, tylko daj mi trzysta rubli.

— Jeżeli dla ciebie, to z największą chęcią, ale... jeżeli...

— Co ci do tego!—pochwycił Mewa. — Nie dla mnie, bo bym powiedział: pożycz... Nie ciągnij mnie za język... Powtarzam ci: daj mi trzysta rubli i kwita... Tyle ci tylko powiem: nie będziesz żałował...

Gabrys nie na to nie powiedziawszy, wręczył Mewie żadaną kwotę.

We dwa tygodnie po tej rozmowie, Ksenia była już w orkiszowieckim dworze. Przybycie jej było niespodzianką dla Gabrysia. Pewnego poranku, przechodząc przez salon, usłyszał w przyległym pokoju łkanie. Wszedł i ujrzał w kącie, za szafą, przytuloną do ściany i zachodzącą się od płaczu dziewczynę.

— Co to jest?—zapytał w pierwszym uniesieniu.

Ksenia za całą odpowiedź spojrzała mu w oczy wzrokiem, o litość błagającym.

Nie pytał, jakim ona dostała się sposobem, bo się domyślił. Nie oburzył się na Mewę, pomimo że głos jaki wewnętrzny oskarżał tego łotra przed jego sumieniem. Czuł, uznawał, że to co się stało, było złem, brudnem, ale nie miał odwagi odepchnąć czyn spełniony. Nie dziw: był synem XIX wieku, w którym polityka czynów spełnionych taką olbrzymią odgrywa rolę.

— Stało się—rzekł do siebie w duchu.

Jednakże, żal mu się zrobiło biednego dziewczęcia. Zbliżył się do Kseni i począł ją pocieszać:

— Nie płacz... czego płaczesz?... powiedz: czego płaczesz?...

Długo się dopytywał aż mu odpowiedziała:

— Boję się. .

— Nic bój się—odrzekł natychmiast.—Nic ci się złego nie stanie...

Na te wyrazy Ksenia osunęła się przed nim na kolana i składając dłonie jak do modlitwy, zawołała:

— Paniczu!... miej litość... nad biedną dziewczyną... samą na świecie... sierotą... bez matki...

Wyrazy bez matki, o mało że do łez Gabrysia nie poruszyły. Byłyż bo wymówione takim tonem, że trzeba było chyba Mewy, ażeby nie zabrzmiały w sercu litością. Gabrys uczył cudzą krzywdę i obowiązek naprawienia takowej. Tylko nie wiedział, jakim sposobem. Zaczął więc od tego, co mu się pierwszy pod ręką nawinął—od najbardziej zużytego—od pocieszania strapionej.

— Nie lękaj się niczego... Nie stanie ci się żadna krzywda. . Bądź spokojna... Nie płacz...

— Paniczu!... czy mnie nie sponiewieracie?—zapytała Ksenia ośmielona tonem mowy Gabrysia.

— Nie... o... Nie lękaj się...

— O mój Boże! — dziękczynnym akcentem wydarło się z piersi dziewczyny.

— Bądź spokojną...

— Już ja spokojna... Ja się bała...

— Czego?...

— Hańby...

Ten wyraz upokorzył naszego bohatera. On miał w duszy wstyd. Wstydzził się zmienności i niehonorowości, fałszywie wprawdzie pojętych, nie wykluczających jednakże możliwości zawstydzenia się w obec rzeczywistego jakiegoś występku. Wyraz hańba padł mu na duszę. Zadrzał w obec tego, może po raz pierwszy usłyszanego wyrazu. Zrozumiał bowiem — co zresztą łatwym było do zrozumienia — że hańba tej dziewczyny, znajdującej się

w nieograniczonej jego władzy, nie będzie jej ale jego hańbą.

— No... no — rzekł wzruszonym głosem. — Nie bój się... Nie będziesz zhańbioną... Przysięgam ci.

Chciał powiedzieć na honor, lecz raptem się wstrzymał, bo mu ten wyraz wydał się za niedostatecznym. Z tego możemy sądzić o jego nastroju.

Więc przysiągł:

— Na mojej matki popioły...

Uroczyście zabrzmiała ta przysięga, tak że Ksenia wyprostowała się i dziwnym wzrokiem na młodego pana spojrzała. Dziwnym — powtarzam—bo jakby olśnionym. Jakby ona gwiazda-kochanek oblała ją nagle blaskiem, i otuliła i w lazuruwe niosła przestrzenie.

Chłopska dziewczyna, zahukana i poniżana, usłyszawszy uroczyste wyrazy uroczystej przysięgi, wymówione przez człowieka, który jej zaświecił gwiazdą, na którego ona jednakże (mówiąc utartem wyrażeniem) oczów wznieść nie śmiała, uczuła się raptem niby podniesioną wysoko, bardzo wysoko. Z wrażenia tego nie umiała sobie zdać sprawy. Czują tylko że pierś jej napęła się czemś uroczem. Serce biło jej mocno. Nie wiedziała co z nią się dzieje.

Gabrys wziął ją za rękę.

— Chodź—rzekł.

Ona poszła.

Przeprowadził ją przez kilka pokoi i zaprowadził do tego pokoiku, o którym pisałem na początku rozdziału.

— Oto twoje mieszkanie... Tu jesteś panią

I Ksenia została panią pomiędzy czterema ścianami—niby niewolnicą, jednakże nie niewolnicą, bo miała wolę, gdyby zechciała wrócić nawet do Horbaczek.

Lecz miałaż po co wracać? — A gdyby i miała, to ją do miejsca przykuła miłość, z której ona powoli sprawę sobie zdała. A zdawszy sobie tę sprawę, całą duszą i całym sercem przywiązała się do swego kochania, o którym zresztą nic nie wiedziała. Chciała tylko kochać, kochać i kochać. Oto, jakim było jej drugie pragnienie.

Pragnienie to zostało zaspokojonem w sposób, nieodpowiadający wymogom form ale istocie przyzwoitości. Pod puklerzem przysięgi Gabrysia, Ksenia była bezpieczną i—szczęśliwą. W szczęściu jej jednakże była pewna chmurka, zasepiająca jego pogodę. Tą chmurką był ojciec, o którym zrazu nie śmiała mówić Gabrysiowi, lecz ten sam ją ośmielił.

— Ty sierota?—zapytał ją po kilku dniach.

— Oj, sierota, paniczu.

— Nie masz matki?...

— Nie mam... umarła temu lat trzy...

— Ani ojca?...

— Ojciec żyje — odparła z zająknieniem, bo w horbaczowieckim dworze wmówili w nią, że ojciec jej ostatnim jest łajdakiem.

— W Horbaczówce?... gospodarz?...

— Oj, nie...

— Służy?...

— Nie...

— Ale jest w Horbaczówce?...

— A Bóg że to raczy wiedzieć... Mój ojciec...

Nie mogła dokończyć, bo na języku jej wisiały wyrazy: pijak i łajdak. Tego jednakże pijaka i łajdaka ona kochała. Pamiętała, że nie był on pijakiem, kiedy ją najprzód niańczył a potem hołubił i uczył pieśni i kasek i rozpowiadał o Bogu i świecie. Pamiętała, że on zaszczepił w jej duszy pojęcie o godności niewieściej, pojęcie, które ona znajdowała w chwilach dla niej najgroźniejszych. Pamiętała jak on modlił się za nią do pana Bałabońskiego. To ostatnie wspomnienie najmocniej w jej pamięci utkwilo i napawało jej serce zawsze jednakoową miłością dla ojca, bez względu na to, że on tak się później sponiewierał.

Że się jednakże sponiewierał, to, niestety! własnymi nieraz widziała oczami. Serce jej z żalu pękało. Ile razy mogła, usiłowała na ojca wpłynąć, usiłowała przyprowadzić go do opamiętania. Ale on ani ją poznawał, ani nawet słyszał. Proźby córki, szyderstwa obcych. Łajanie oficjalistów ekonomicznych były dla niego jednym i tem samym.

Dostawszy się więc do pięknego dworu orkiszowieckiego, do piękniejszego jeszcze, podług niej, pokoiku, pod opieką człowieka, który jej się wydawał aniołem a otoczył ją wygodami i zbytkami, myślała i przemyślała nad tem, jak ojca z toni pijaństwa wybawić.

Dwie te postacie—ojciec pijak i Gabrys anioł—dziwną w jej sercu sprawiały rozterkę. Żadną miarą nie mogła ich zestawzić razem. Nie mogła

a chciała: oto trzecie pragnienie, które jej spokoju nie dawało i smutkiem serce poilo.

I była smutna, jak ten kwiat polny, potrzebujący do zupełnego szczęścia słońca i rosy, któremu niebo jedno tylko słońce daje a rosy odmawia. Tęsknił biedny kwiatek za rosą i główkę pochylił. Tęsknił aKsenia za ojcem, a tęskniła długo—przez całych ośm miesięcy.

Tęskniła tem bardziej, że Gabrys nie żartem się w niej rozkochał.

Gotów ktoś zarzucić mi:

— Nieprawda...

I poprzec zarzut jednym z niezbitych dowodów, takich naprzykład, jak:

— To być nie może...

Jak ja ten, tak silnie umotywowany zarzut, odepre?

Jak?—Przykładami, wziętymi z sąsiedztwa, które w niezbyt wielkiej odległości otaczało Orkiszówkę. Książę J., potomek znakomitej rodziny, wielki pan nie tylko z rodu ale i z majątku, ożenił się z kucharką. Hrabia T. ożenił się z panną służącą. Książę C. ożenił się z własną poddanką. Nie książąt i nie hrabiów nie będą nawet wyliczał, tem mniej wysokich urzędników, zwłaszcza starych generałów, żeniących się z kucharkami, zazwyczaj nie z miłości do ich osób ale do ich sztuki. Lecz wymienionych powyżej dwóch książąt i jednego hrabiego, co na ślubny poprowadziło kobierzec, jeżeli nie miłość?—Niech oponenti kręcą jak chcą, niech gromadzą dowody, bardziej jeszcze niezbite

niż powyższy, nie potrafią przekonać, że miłość tego rodzaju jest niemożliwą.

Jeżeli przeto w kucharkach, pannach służących i poddankach mogli się kochać książęta i hrabio-
wie, dla czegożby Gabrys nie mógł się rozkochać w Kseni?

Rozkochał się on w niej, jak wiemy, od pierwszego na nią spojrzenia. Tamta jednakże miłość różną była od tej, która się urodziła w Orkiszówce. Tamta była francuska, *à la mr. Pierrot*, zaprawiona fantazyą, wysnutą z romansów *en vogue*, ta była poczciwą, czystą, brylantem przypadkiem w śmieciu odszukanym.

Urodziny jej otoczył Gabrys absolutnem milczeniem. W pierwszej chwili nie miał komu udzielić tej wiadomości: Mewa bowiem tak rzecz urządził, że przez kilka dni po przybyciu Kseni do orkiszowieckiego dworu nikt z gości nie zajrzał. Był to *tour d'adresse* zręcznego człowieka, obrachowany na nieograniczoną wdzięczność przyjaciela. Po kilku dniach zajęchało przed ganek kilka najtyczanek i wysypało się z nich zwykle towarzystwo, do którego należeli i Ksawery i Staś i Mewa.

Ten ostatni powitał Gabrysia przez połę. Gabrys jednakże odpowiedział na to:

— Nie rozumiem, co to znaczy...

— A... ba...—odparł Mewa—Ale ja rozumiem...

— I ja rozumiem...—podchwycił Staś.

— I ja...—powtórzył Ksawery.

— I ja... I ja...—zawtorował chór kilku głosów.

Gabrys jednakże zrobił minę tak poważną—tak

zachmurzył czoło, że uśmiechy zamarły na ustach jego przyjaciół.

Czemuż on w tej chwili nie zdobył się na odwagę—nie wyciągnął ręki i nie krzyknął na tę zgraję próżniaków:

— Precz z mego domu?!...

Lecz on tylko milczał—był zimny ale nie mógł, a raczej nie umiał wydobyć z siebie odwagi. Odsunawszy na bok kwestyę o Kseni, był z przyjaciółmi jak zwykle, uprzejmy i gościnny, rozmawiał z nimi o koniach i chartach, grał wpreferansa i sztosika.

Mewa myślał że go żenuje liczne towarzystwo. Postanowił więc pogadać z nim sam na sam.

— A co?...—zapytał kiedy zostali sami.

Gabrys udał że nie słyszy zapytania i wyszedł z poku.

— Co mu się stało?—rzekł do siebie honorowy człowiek. Więc w inny snosób przystąpił do rzeczy.

— Gabrysiu—rzekł przy pierwszej sposobności—mam przed tobą zdać rachunek.

— Z czego?...

— Z trzystu rubli...

— A!...—odparł Gabrys i ręką machnął z oznaką niecierpliwości.

— Lękam się, żebyś nie myślał, że użyłem ich na własne potrzeby...

— Tego nie myślę...—i znów opuścił przyjaciela.

— Dudek!...—powiedział do siebie Mewa i pomyślał:

— Taka to wdzięczność!... Wyświadczyłem mu

przyjacielską przysługę, a on mi nawet „dziękuję” nie powie... Tegom się po nim nie spodziewałam...

I dał pokój zaczepkom. Wyjechał bez gabrysiowego podziękowania.

Miłość Gabrysia wyrażała się tem, że bardzo rzadko zaglądał do Kseninego pokoiku. Kiedy był w domu, zachodził do niej raz na dzień i to na krótko. Jakiś rodzaj bojaźni czy uszanowania trzytrzymał go zdaleka. Zdarzało się niekiedy, że się rozpędził, zatrzymał się pode drzwiami, postął i odchodził, nie dotknąwszy się nawet klamki. Ksenia więc cały czas miała na własne i wyłączne rozporządzenie. Jakież ona z niego użytek robiła?

Wiele bym musiał zapisać arkuszy, gdybym chciał wszystkie zajęcia Kseni opisywać. Było ich tyle ile gwiazd na niebie, ile piasku w morzu, a dzieliły się na dwa rodzaje: na zewnętrzne i wewnętrzne. Zewnętrzne dadzą się z łatwością wyliczyć, składały się bowiem głównie z dwóch: z szycia i przedzenia — a szczególnie z przedzenia. Chłopska dziewczyna nie umiała owych delikatnych robótek, wymyślonych na to, ażeby nasze panie oszukiwały same siebie pozorem pracy. Umiała ona szyc i praść. To ostatnie zajęcie przekładała nad pierwsze dla wielu powodów, z których główne wyliczę: raz przypominało jej matkę i ojca i tło życia na któryem rozpoczął się rozwój jej umysłu — rozwój tak gwałtownie i raptownie powstrzymany przez zabranie do usług pannom Bałabońskim, powtóre, pozwalało jej dumać, marzyć, roić... ach! — roić — to jest, oddawać się tym niezliczonym zaję-

ciom wewnątrz, w których prawnikiem była jęj dziewicza, poetyczna wyobraźnia.

Przędła więc i roila. Kiedy Gabrys był w domu, siedziała zamknięta w swoim pokoiku, zajęta układaniem miękkiego lnu, lub nawijaniem go na zgrabnie wytoczoną kądziel, lub też ciągnięciem długich a cieniuchnych nitek przy pomocy furczącego w powietrzu wrzeciona. A wrzecion miała bez liku. Mnogość ich i dobór były jęj kaprysem.

Czasami, kiedy przyjaciele Gabrysia, gwarem napełnili podwórze, Ksenia przez wpółotwarte żaluzye przypatrywała się popisom ich — jazdy konnej a szczególnie strzelania z pistoletów. Huk wystrzału sprawiał na jęj nerwach pewne łoskotliwe wrażenie, wzbudzające w niej jakiś niby pociąg, czy też coś na kształt ciekawości, której się oprzeć nie mogła.

Kiedy Gabrysia w domu nie było, wówczas z kądzielą za pasem i wrzecionem w ręku, przechadzała się powoli po całym dworze i uważnie przypatrywała się wszystkiemu najdrobniejszym szczegółom. Najmiliej było jęj w pokoju, ochrzczonej mianem gabinetu, w którym znajdowała się zbrojownia Gabrysia, składająca się z rozwieszonych na zielonym obiciu kosztownych strzelb, starożytnych karabel, nowych szabel, nożów myśliwskich, kindżałów i różnego kształtu i kalibru pistoletów. Ksenia zrazu tylko się przypatrywała wszystkiemu, potem paluszkami dotykała, w końcu ośmieliła się, do rąk brała, oglądała i próbowała i własnym domysłem doszła tego, że aby pistolet huknął i kula

z niego wyleciała, potrzeba aby był nadziany prochem i opatrzoney kapiszonem. Doszła i tego także, jak poznać, kiedy jest nabity a kiedy nie, a to za pomocą wrzeczona, wkładając je w lufę i probując. Bawiła się tem, jak dziecko, kiedy na nie starsi nie patrzą.

IX.

Przy końcu opowiadania czuję potrzebę przemówienia do łaskawych czytelników. Kiedym zaczął powieść niniejszą, zdawało mi się, iż się bez tego obejdę. Kończąc ją jednakże, jakoś wygląda ona tak, jak gdyby koniec nie schodził się z początkiem. Za raptownie Gabrys wypocziwiał. Ni z tego ni z owego, szlachetne uczucia odezwały się w jego sercu. Ni z tego ni z owego powstała w nim miłość czysta i świetlana.

Łaskawi czytelnicy! nie jest to bynajmniej „ni z tego ni z owego.” Jeżeli raczyliście z uwagą od początku tę lichą powiastkę czytać, to zauważyliście, że nie przedstawiam bohatera mego jako skończonego łajdaka, a tylko, jako młodzieńca źle wychowanego, z którego przy innem wychowaniu, mógł być wyrobić się człowiek nie znakomity ale nie zły. Taki człowiek ma w sobie, niby w rezerwie, popędy dobre, które przy zdarzonej okazji, budzą się i działają—a działają póty, póki złe ich nie złamie. Ksenia była dla Gabrysia ową zdarzoną okazją. Oto powód, dla którego charakter tego ostatniego nie wydaje się z pozoru do końca utrzymanym. Zaszła mu w drogę piękna a rozplą-

kana dziewczyna, trafiła na dobry psychiczny nastrój i niechcący wywołała dobry uczynek — dobry jednakże, że tak powiem ujemnie, bo dla tego tylko, że zły nie został spełnionym. Przypuśćmy inny nastrój, przypuśćmy iżby Ksenia przybyła do Orkiszówki w tak zwaną „nieszczęśliwą godzinę” a miałbym do opisywania takie okropności, którychbym nie śmiał za żadne świata skarby przelać na papier.

Zresztą, taka poprawa jest połowiczną. Ażeby była zupełną, potrzeba było na cztery wiatry wszystkich przyjaciół rozpędzić a najprzód Mewę za kark za drzwi wyrzucić. Tego Gabryś nie zrobił: więc i ta jego czysta miłość ma znaczenie nie inne, tylko fałszywego tonu w harmonii złego.

Przytem była jeszcze jedna ważna okoliczność, przeszkadzająca Gabrysiowi w dobrem wytrwać, a to: przecięciowa, jeżeli tak wolno się wyrazić, naszego bohatera wartość, której nie umiał poznać i uznać, umiał jednakże czuć ją instynktem. Był on wart tyle, ile jego majątek. Z majątkiem, zrobiwszy coś dobrego, mógł to dobre podtrzymać: bez tego, nie wiedział co w świecie począć. Mógł więc być dobrym człowiekiem, pod warunkiem, ażeby był bogatym.

Kiedy plenipotent powiedział Gabrysiowi:

— Nie ma już rady...

A Gabryś zapytał:

— Wieleż mi zostanie?..

I otrzymał w odpowiedzi fatalne:

— Nic...

W oczach mu najprzód poczerwiało, potem pożółkło, a gdy poszedł do siebie, zapytał:

— Więc już nie ma rady?...

— Nie ma—odparł człowiek znający na wylot wszystkie wykręty prawodawstwa—chyba bym nazwał radą to, iż według artykułu N, paragrafu NN, kodeksu praw cywilnych, egzekucję zwlec można miesiąc, najdłużej dwa.

I dodał tonem wewnętrznego zadowolenia:

— Zwlekaliśmy ją panie przez cztery lata, pomimo że nacisk ze strony kredytorów był wielki... Tymczasem, i procenta przyrosły i wierzycieli przybyło... o te dłużki rachunek chyba się załatwi na Józefata dolinie...

— Jakto!...—podchwycił Gabrys—przepadną?...

— Przepadną...—odparł z zimną krwią adwokat.

— A jaż dał słowo honoru!...

— To nic... honor, panie przy majątku bywa pewną ewikcyą, ale... bez majątku?...

Tu adwokat ramionami ścisnął, a Gabrysia dreszcz jakiś przeszedł od stóp do głowy.

— Ale można jeszcze zwlec miesiąc, dwa?...—zapytał po chwili...

— Czy pan dobrodziej sobie tego życzy?...

— To jedyna nadzieja...

— Co za nadzieja!...—podchwycił adwokat—Nie nadzieja, tylko sztuka... łamana sztuka, panie dobrodziej... Chyba, że pan dobrodziej posiada jaki sposób...

— Sposób?...—zapytał nasz hohater, do ziemi przytłoczony ciężarem okropnej a tak bliskiej katastrofy.

— A... tak... na przykład: ożenienie... Bo trzeba panu dobrodziejowi wiedzieć, że tylko ja sam znam całą rozciągłość złego... Ludzie o tem nie wiedzą... To możnaby jeszcze, spiesząc się, dostać jakiś posażek...

A gdy Gabrys nie na to nie odpowiadał, adwokat ciągnął dalej:

— Postaram się przeto o zwłokę... Zażegnam burzę na miesiąc, dwa, a może na trzy... Bądź pan dobrodziej spokojny...

Gabrysiowi po tej rozmowie płomień był w głowie a dreszcz w żyłach. Robiło mu się naprzemian to gorąco to zimno. Stała mu w oczach Ksenia i życie z nią, którego nie mógł sobie wyobrazić inaczej, tylko w dostatkach. On sobie następujący ułożył planik:

— Za przykładem księcia J. hrabiego T. i księcia E. potrzebnymi mu były koniecznie takie przykłady, dla uspokojenia sumienia, ożenię się z nią i natychmiast wyjadę za granicę. Zamieszkać na trzy lata w Paryżu. Wezmę guwernerów i guwernantki, którzy ją opoliturują i wykształcą i...

To co nastąpić miało po „i“ puszczał na los szczęścia, a raczej, pozostawiał naturalnemu biegowi rzeczy, oprawionemu w ramy Orkiszówki z przyległościami.

Raptem cały, taki piękny i mądry planik, wyrócił się, jako te pałace z kart, które dzieci budują. Wyrócił się i Gabrys innego zbudować nie umiał, bo nie stało fundamentów.

Adwokat dawał zdrową radę — zdrową i praktyczną: ożenić się dla posagu.

Ożenić się dla posagu? — więc nie z Ksenią.

Rada ta była raminiscencyą ostatniego, przedśmiertnego matki błogosławieństwa.

— Żeń się — był ostatni prezesowej wyraz.

Nie powiedziała wprawdzie z kim, ale sumienie dopowiadało Gabrysiowi myśl matki:

— Z panną posażną... więc nie z Ksenią...

Po raz pierwszy w życiu przyjechał nasz bohater do domu zgryziony, pomieszany, błądy.

Przyjechał i zastał przyjaciela.

Ucieszyło go to. Potrzebował bowiem pocieszenia, którego w samym sobie nie znajdował i rady, której sam sobie dać nie umiał.

Mewa był jakiś nad swój zwyczaj zamyślony i poważny. Może to tak się Gabrysiowi wydało. Siedział rozwalony na kanapie i w milczeniu otaczał się dymem sygara.

Gabrys chciał zawiązać z nim rozmowę o interesach. Więc zaczął:

— Byłem w Żytomierzu... u adwokata.

— Hm!... cóż tam słyszeć...

— Złe...

— Cóż przecie?... czy jaka rewolucja w Chinach albo Japonii?... czy może zniesienie pańszczyzny?... Bo wyglądasz, jakby wielkie na ciebie spadło nieszczęście...

— A spadło — odparł Gabrys drżącemi od wewnętrznego wzruszenia ustami, zrywając się raptem z miejsca i szerokimi krokami chodząc po pokoju.

— Spadło?... hm... a jakie?...

Gabrys zrazu nic nie odpowiedział. Zatrzymał się przed oknem i w milczeniu patrzył na podwórze. Nagle zwrócił się raptem i usiłując udać spokój, rzekł powolnie:

— Najdalej za trzy miesiące będę zupełnie zrujnowany...

— Il... to głupstwo—odrzekł Mewa, otrzepując popiół z sygara — czy to na takie nieszczęście nie ma rady?...

— Rady? — zapytał Gabrys tonem w którym brzmiała ciekawość, z nadzieją złączona—jakiej?...

— Zeń się—odparł spokojnie Mewa.

Gabrys znów począł chodzić.

Chodził długo i milczał. Na policzkach jego, które drgały nerwowemi rzutami, odbijało się wewnętrzne wzruszenie, szarpiące serce w piersi. Chodził i myślał, a myśli tak się w jego nietęgiej głowie splątały, że sam nie wiedział, o czem myśli. Wszystkie one nawijały się około dwóch rzeczy, z których jedna była wyraźną w ciało i koście ubraną ludzką postacią, śliczną, cudną, zachwycającą, druga niejasnem pojęciem, zawartem w wyrazach zeń się.

Po półgodzinnem przeszło chodzeniu, milczeniu i myśleniu, stanął nagle przed Mewą i zagabnął go:

— Z kim?...

— Oczywiście z posagiem—odrzekł zagabnięty.— Masz na to dość czasu... Trzy miesiące... Możesz bezpiecznie odbyć konkury, zaręczyć się, wziąć ślub, dostać trzykroć sto tysięcy i poświęciwszy

Bobowice, Motrenkę, Hałabijówkę i resztę, oczyścić Orkiszówkę i nawet popłacić długi na ewikcję honoru osobistego zaciągnięte... A nie potrzebujesz bardzo daleko się fatygować... Podejmuję się wyszukać ci bogaczkę, która z pocałowaniem ręki pójdzie za ciebie...

Przed Gabrysiem niby nowe jakieś otworzyły się horyzonty. Zdawało mu się, jakby odszukał się utracony fundament jego planu. Dodateczek, taki mały jak żona, jakoś w pierwszym momencie nie zwrócił na siebie uwagi.

— Żona? — głupstwo... Grunt: trzykroć sto tysięcy.

Taki punkt osiowy stanął raptem w jego myślach i stał się kotwicą, na której uratować miał od rozbicia, wichrami długów pędzoną nawę.

Żona tak dalece wydała się mu głupstwem, że nawet nie był ciekawym zapytać Mewę, z kim go myśli swatać.

I Mewa z tem się nie spieszył. On szeroko i ze szczegółami rozповідаł o korzyściach dużego posagu. Gabrys przez ten czas chodził po pokoju, milczał, ale już nie myślał, tylko słuchał wykładu przyjaciela, który mówił płynnie, ze swobodą i przekonaniem.

Wykład ten trafiał do przekonania Gabrysiowego tem łatwiej, że padał na grunt przygotowany przez adwokata i przez wspomnienie matczynego błogosławieństwa. Kiedy przeto Mewa powiedział przy końcu:

— No... nie traćmy tedy czasu... Ubieraj się

i każ zaprzęgać... Ale pamiętaj, że frak, kocz i piątka w krakowskich chomątach są de rigueur...

Gabrys kazał Johanowi zaprządź a innemu ubrać siebie. W pół godziny potem wiedeński kocz, unoszony przez pięć dzielnych koni, toczył się szparko po drodze z Orkiszówki do Ryszek.

— Gdzie mnie wieziesz? — zapytał Gabrys Mewa kiedy już do miasteczka wjeżdżali.

— Nie dalej, jak do Ryszek...

— Kpisz, czy co?... z kimże mnie zamierzasz zeńić?... Chyba z jaką bogatą żydówką, która ma posag na kahale ulokowany?...

— Ale... gdzieżtam!.. gorzej jeszcze, jak z żydówką... Oto twoją przyszła...

Ostatnie te wyrazy wymówił w chwili, kiedy kocz zatrzymał się raptem przed małym, schludnie wyglądającym domkiem, w oknie którego, niby w ramach, ukazała się twarz naszej znajomej, panny Leokadyi.

— Co? — krzyknął Gabrys, jak waż gdy mu się na ogon nastąpi.

— Pst! — odsyknął Mewa i szedł, poprzedzając młodego przyjaciela, który za nim, jak na rusztowanie do ścięcia się włókł.

Wszedł przez sionkę, na prawo, do pokoju który grał rolę bawialnego, przystrojonego bardzo skromnie ale tak czysto, że na drewnianych, politurowanych, miejscowej roboty krzeselkach, na takichże dwóch stolikach i wielkiej szafie, na skórą obitej kanapie i ogromnym dywanikiem nakrytym kufrze, na ściennym zegarze przy drzwiach zawie-

szonym, na lusterku pomiędzy oknami i kilku sztychach, życie S-tej Genowefy przedstawiających, na wyszorowanej żółtym piaskiem podłodze, gdyby kto za wielkie pieniądze chciał na lekarstwo pyłek znaleźć, czas daremnie i trudy by stracił. Z tego pokoju prowadziły drzwi, a raczej zasłonięty jak firanką kawałkiem wypłowiałego perkalu otwór na drzwi, do alkierza, z którego wyglądało blisko trzy ćwierci izby zajmujące a wysoko piernatami i poduszkami zasłane łóżko i szeroka szafa, szczelnie do łóżka przystająca.

Panna Leokadja, ujrawszy najprzód przed ganikiem swego mieszkania zatrzymujące się niespodzianie pięć koni i wiedeński kocz, a w chwilkę potem, w swoim bawialnym okoju Gabrysia, zapomniała języka w gębie. Gdyby się ją było zaytać:

— Czyż się tego spodziewała?

Odpowiedziałyby z pewnością:

— Prędzej śmierci...

Stała więc zdumiona na prost drzwi, z rękami na brzuchu złożonemi i z oczami i gębą otwartemi. W tej pozycyi wyglądała klassycznie. Ubrana była w perkalikową błękitną, w białe i brązowe kwiatki i pasy, ale zblakowaną od prania suknię. Na ramionach miała brązową, półwełnianą chustkę, skrzyżowaną na piersiach i związaną na grzbiecie, na głowie żółtą jedwabną chustkę, lekko pod brodą zawiązaną, na szyi dwa sznury urjańskich pereł, przy uszach wielkie kółce, brylantami i prawdziwemi perłami nasypane, a na nogach ogromne, przez miejscowego szewca za dwa złote zrobione

i dobrze przydeptane trzewiki. Nie miała krynoliny, której nigdy nie nosiła, nazywając ją komorą na b.... Pomimo to jednakże tak była naturalnie szeroką, że całkowicie zamaskowała sobą staruszkę matkę, która strwożona, lękliwie z za ramienia córki ku gościom wyglądała, trzęsąc głową, w perkalowy ze szlarkami na czoło i skronie namniętymi ubraną czepiec.

Ku tym dwom kobietom szarmancko, w posuwistych ukłonach, zbliżał się Mewa a za nim trochę sztywnie Gabryś, wyrażając swoim ubraniem najzupełniejszy kontrast z ubraniem i pokoiku i jego mieszkańek.

Mewa zbliżył się, a odjąwszy rękę od brzucha, nie mogącej wyjść ze zdumienia panny Leokadyi, złożył na niej głośny całus. Puszczając rękę, zostawił ją w powietrzu wyciągniętą w taki sposób, że gdy odstąpił na bok, ręka ta znalazła się pod samym nosem Gabrysia i zmusiła go do naśladowania przyjaciela.

Zdumienie panny Leokadyi wzrastało do coraz wyższej potęgi i wzrosło do najwyższej, gdy następujące o jej uszy obiły się wyrazy:

— Przyjeżdżamy do pani dobrodziejki w konkury... Ja jestem swatem a oto kawaler...

Tu Mewa z gracyą, wyciągnął dłoń obciążoną białą rękawiczką i ukazał na zakłopotanego Gabrysia.

— Mamy zamiar prosić szanownej pani dobrodziejki o rękę pani dla obecnego tu pana Gabryela X., dziedzica i pana Orkiszówki, Bobowicy, Mo-

krenki, Hałabijówki i kilku innych folwarków, ażeby przez to osiągnąć połączenie nie tylko dwóch osób, ale i dwóch fortun, bo co dwie to nie jedna.

Wyrecytowawszy to, począł zaglądać za pannę Leokadyę, do staruszki, jej matki.

Nie długo jednakże tego zaglądanania potrzebował, bo panna Leokadya, zrobiwszy po żołniersku pół-obrot i cofnąwszy się trochę, zdemaskowała matkę i wyciągając ucałowaną rękę w te do niej odezwała się słowa:

— Na... ot... i masz...

Staruszka, trzęsąc głową i przymrużając oczy, spoglądała to na Mewę to na Gabrysia, który miał minę studenta, nie umiejącego lekcyi.

— A co, mój sen?... com go mamie dziś rano opowiadała... czy nie sprawdził się?...

— Sen mara. Bóg wiara—wyjąkała przytłumionym głosem staruszka.

— Mama bo zawsze swoje—pochwyciła córka—*pip swoje czart swoje.*

— Ta że taa—odparła matka.

— Jakąż możemy mieć nadzieję?—wsunął Mewa, zwracając mowę wpół do staruszki wpół do panny Leokadyi.

— Nadzieja w Bogu—odrzekła staruszka, która nie rozumiała o co właśnie tym wystrojonym panom chodzi.

— Co się tam mama wtrąca! — burknęła panna Leokadya.—Czy to kawaler przyjechał w konkury do mamy, czy co?... Najlepiej, jak ten powiada: nie kładź palca pomiędzy drzwiami... Ot co jest...

A zwracając się do przybyłych...

— Niechże panowie dobrodzieje, z łaski swojej, raczą siedzieć w mojej chacie...

A gdy kawalerowie oglądali się za stołkami:

— Bez ceremonii, proszę panów: na stołku, czy na kanapie, czy na kuferku... Może by najlepiej na kuferku, bo nie tak ślisko jak na stołku... Ten Mendel, bodaj mu ręce pokurczyło! tak wypoliturował, że jak na lodzie... A na kanapę, to taki sama nie proszę, bo na niej mama na jednym końcu wysiedziała dziurę, a ja na drugim... Taj w tych dziurach tylko ja ta mama umiemy siedzieć... A jakby siadł który z panów dobrodziejów, to by nogi zadarł, jak się to przytrafiło niedawno Doziunci, ta jeszcze w krynolinie... cha cha cha!

Przez czas tej przedmowy Mewa miał czas wsunąć Gabrysiowi w ucho:

— Dobry znak!... nie łaje, szelma... tylko du courage!... a będzie posag... Odezwij że się!...

Gabrys się więc odezwał:

— Panny Bałabońskie często panią odwiedzają?...

— A jaj!... gdybym miała tyle tysięcy groszy, ile razy one u mnie były, toż to byłabym bogatą...

— Pan Gabryel X. — pochwyił natychmiast Mewa — lękał się, jadąc do pani dobrodziejki w tak ważnym interesie, spotkać którą z panien Bałabońskich, ażeby broń Boże, nie przeszkodziły...

— Nie przeszkodziły? — krzyknęła panna Leokadya. — Tfu na nich, ta pek!... Ta, żeby one wszystkie sześć tu się zebrały, a przeszkadzać

chciały, to ja bym im, panie, wszystkim szesćciom, żeby powybiła...

To mówiąc pokazała ściśnięty kułak.

— Dobrze — mruknął do siebie Mewa i głos podniósł:

— Pani dobrodziejka zawsze mówiła, że lubi prosto z mosta...

— Dalibóg że lubię!... Jak tu do mnie zaczęli złazić się hołysze, nie przymierzając tacy jak pan...

Mewa pochylił głowę na znak potwierdzenia, a ona ciągnęła:

— a każdy zwracał oczy, jakby go kolki sparły, to ja każdemu taki paternoster przeczytała, że stulił, panie uszy, uciekł i dziesiątemu zakazał... Ta mi mama mówiła: ej Leosiu, ty odstraszasz mężczyzn od siebie... A ja mamie: nic to nie szkodzi, doczekam się mężczyzny, co nie będzie hołysz... Ot i doczekałam się... Ot i przyszedł mężczyzna... Nu, mamó, a co? — zapytała matkę tryumfującym tonem.

— Ale—rzekła półgłosem, nachylając się do Mewy i pokazując palcem na Gabrysia — czy on do prawdy chce się ze mną żenić?...

— Nie inaczej pani dobrodziejko... Jest to jego stałe i niezmiennie postanowienie, jeżeli tylko pani na to pozwoli...

— Moje pozwolenie nie będzie się ociągało... Tylko mnie to jakoś dziwno... Taż ja bym mogła być jemu matką.

— A... ba!... a ileż pani liczy lat?

— Trzydzieści i dwa skończyłam na S-ty Gabryel.

— A pan Gabryel ma dwadzieścia i dwa, to trudno żeby pani mogła być jego matką...

— Prawda, że trudno... dziesięć lat... Ale uważał pan—dodała na głos—żem się na Ś-ty Gabryel rodziła... To mój patron męża mi daje... Nu... Mamo... a co?

— Prawda, serce, Ś-ty Gabryel jest twoim patronem... Oj namęczyłam się namęczyłam... takie było duże dziecko, a głowa jak ta makutra...

— Więc pani dobrodziejka przyjmuje pana Gabryela X... na męża?—zapytał Mewa.

— Czemu nie!... chyba bym była głupia, czy co, gdybym nie przyjęła... Co mi szkodzi, że o dziesięć lat młodszy... Tem lepiej... Nie prawdaż?

— A prawda... odparł Mewa.—Będzie pani dobrodziejka mogła młodym mężem się pochwalić....

— Oj, że będę mogła to będę... Saluńcia, Gieńcia, Fimcia, Zibcia, Fruzyńcia i Doziuńcia toż będą mi zazdrością.. Mnie mąż młody i bogaty a im, dula pod nos.

Złożyła palce i pokazała gościom potężną figę, przeznaczoną dla panien Bałabońskich.

— No, to nie ma co zwlekać?...

— A nie ma, dalibóg że...

— Po księdza i zaręczyny?...

— Kiedy zaręczyny, to zaręczyny — odrzekła panna młoda i krzyknęła na głos cały:

— Hej! Feśka, Frasyńka!... jest tam która!... Feśka, Ulina!... A nuż no!... bodaj wam pokręciło!... prędejl...

Wpadły dwie dziewczyny przez drzwi do sieni a jedna z alkierza.

— Po co, aż trzy!... na sto diabłów tyle!... dosyć jednej...

Dziewczęta zrobiły ruch do odejścia....

— Ależ nie wszystkie!... niech jedna zostanie!... Co to za kłepy, proszę pana, nie może człowiek rady sobie z nimi dać — wsunęła w rodzaju uwagi, zwracając mowę do Mewy, a obracając się do pozostałej służącej, mówiła rozkazującym tonem:

— Idź do księdza proboszcza, kłaniaj się mu i powiedz: panna Leokadya, moja pani, kłania się i prosi księdza dobrodzieja, aby był łaskaw przyjść na zaręczyny... moja pani zaręcza się bo idzie za mąż... Rozumiesz?

— Rozumiem, proszę pani...

— No idź, biegnij, a niczego przez drogę nie zapomnij i księdza proboszcza w rękę pocałuj....

Dziewczyna wybiegła. Panna Leokadya za nią, przez okno, posłała jeszcze rozkaz:

— Biegnij!... czego tak leziesz jak rak!...

I wyjrzała przez okno, przez chwilkę popatrzyła, i raptem, jakby ją co odtrąciło, zachnęła się i krzyknęła:

— Johan!...

I sypnęła z ust gradem:

— Ten szelma, łajdak, huncwot (i tak dalej i tak dalej) ten co mnie przez pysk batogiem ćwichnął, że przez całe trzy miesiące nosiłam basaman, a pysk mi spuchł ot tak...

Tu pokazała szeroko rozwartą ręką rozmiary spuchnięcia i w ten sposób kończyła:

— Jeżeli waspan, panie Gabrysiu, nie każesz Johanowi stu łóz wsypać, to kwita z nami... Jedź zkądeś przyjechał i nie czekaj durno na księdza...

— Ależ, pani dobrodziejko—wsunął Mewa.

— Nic ależ!... o!... nic ależ!... Idź ze swoim ależ! do tysiąc diabłów, ty hołyszu, darmojadzie... Co ty sobie myślisz?... Czy myślisz, że ja nic nie wiem?

Mewa przygryzł wargi, bo myślał że rzecz chodzi o długie, o których panie Leokadyi mogli żydzi ryszeccy nagadać. Ale wnet się uspokoił, gdy bogaczka tak ciąnęła dalej:

— Czy myślisz, że nic nie słyszała o Kseni?... Aha!... o Kseni!

— Od czegoż intercyza!—krzyknął w swoją kolej Mewa wstając i groźnie się nastawiając.

Ta jego postawa trochę zmieniła pannę Leokadyę—trochę ale nie bardzo—jednakże tyle, że spuszczać z tonu zapytała:

— Owa!... ta cóż mi zrobi ta jakaś tam tercyza!... co to za tercyza?...

— Punkta przedślubne — rzekł Mewa stukając palcem o stół—w których będzie wyrażono, do czego zobowiązuje się narzeczony, a do czego narzeczona... kontrakt w którym będzie wszystko napisano...

— Ale ja ten kontrakt przeczytam dziesięć razy...

— Choćby sto razy...

— I w tym kontrakcie będzie stało, że Johan dostanie sto łóz, a Ksenia będzie wypędzona z obciętemi kosami?...

X.

Bardzo mi przykro, że nie mogę bohatera naszego w dobrém świetle czytelnikowi przedstawić. Cóż robić!.. Pragnąłem serdecznie, ażeby, przy ostatnich wyrazach, które panna Leokadya wymówiła, Gabrys zerwał się, krzyknął nie pozwalam! i uciekł do Orkiszówki. Cóż powiecie?—nie tylko nie krzyknął, ale pary z ust nie puścił. Śród hałasu, jaki bogaczka i Mewa zrobili, siedział jak niemy. Słuchał, nic nie słysząc, nic nie widząc—słowem — zachował się tak, jak było potrzeba, ażeby nie uciekł mu posag, a z posagiem Orkiszówka, i znaczenie jakie daje majątek, wygody życia, możność próżnowania. Mewa za niego mówił, klócił się, krzyczał i pisał.

— Tak — i pisał. Od słowa do słowa przyszło nakoniec do tego, że panna Leokadya zażądała narreszcie, ażeby ta jakaś tam terezyza natychmiast napisaną została.

Mewa zasiadł do pisania.

— Cóż pani dobrodziejka przyszłemu swemu daje?...

— Jakto, co jeszcze dam?... ta ż przecie będę jego żoną...

— Ależ pani ma majątek, trzeba go uregulować.

— Nu, a jakże: mam trzykroć sto tysięcy złotych, które jak nieboszczyk wujaszek ulokował na banku, tak dotychczas tam sobie leżą i tylko mi szósty procent dają... Żydzi mówią że można wziąć dwunasty... I, dalibógże można, bo oto uciułałam z procentów siedmdziesiąt i sześć tysięcy, dając potuchę żydom na zastaw i oni płacą mi po ośmnaście i dwadzieścia...

— Więc napiszę, że pani podniesie kapitał z banku i wręczy go mężowi?...

— Dobrze, ale pod warunkiem, że Johan dostanie...

— To się rozumie... już to napisałem... o, niech pani dobrodziejka czyta... stoi czarno na białem...

— Ja, Bogu dzięki, nie ślepa... widzę... Ale chcę, żeby jeszcze raz dla większej pewności, było napisane...

— Jeżeli pani chce, to dobrze...

To powiedziawszy, wziął się do pisania, a pisząc bąknął niby do siebie:

— Co na to wszystko panny Bałabońskie powiedzą?

— Powściekają się... jak się dowiedzą, że będę miała męża bogatego, młodego i jak małowanie...

Mewa wciąż pisał, a panna Leokadya rozpowiadała swoim sposobem, jakie na każdej z osobna pannie Bałabońskiej wiadomość o jej losie wrażenie sprawi. To ją w złoty wprowadziło humor, który ułatwił przeprowadzenie rzeczy do końca.

Ksiądz przyszedł, zareczyny odprawił i na intercyzie, albo raczej kontrakcie, jako drugi świadek się podpisał. Potem nastąpiła kawa ze śmietanką i żydowskimi placuszkami, poprzedzona mohoryczem, który się zaczął od tego, że przyszła palnęła kieliszek nalanej w pomarańczową skórkę wódki, dobrej—jak mówiła—na żołądek w ręce przyszłego. Cała zaś komedia zakończyła się tem, że kiedy panna Leokadya wyprowadziła Gabrysia i Mewę na ganek i pożegnała, zwróciła się do Johana a kiwając zamaszycie palcem, zawołała:

— No, aż teraz ty popamiętasz!... już ja ciebie opisałam w terycyzie jak należy, ale będę jeszcze i po tobie pisała...

Johan na to bat rozwinął i palnął tak silnie, że aż zadzwoniło w uszach jego przyszłej pani.

— Ach! szelma jakiś—wrzeszczała ta ostatnia za odjeżdżającymi.

Gabrys siedział w głębi powozu jak niemy. Wszystko zrobił, co do niego należało — milczał i podpisał—i był jakby otumamiony, jak automat. Za miesiąc miał zostać mężem panny Leokadyi.

Mewa wsiadłszy do powozu, doznał takiego wrażenia, jakby wyskoczył z głębokiej wody, w której mu zagrażało utopienie. Mimowolnie więc z piersi wydarło się mu:

— Uf!...

To uf było całą pomiędzy przyjaciółmi rozmową. Mewa milczał bo szanował milczenie Gabrysia. Zajechali do Orkiszówki i milczenie przerwaniem zostało dopiero nazajutrz. Przerwał je sam Gabrys.

— Mnie się zdaje, że to wszystko co się stało, to sen...

— Sen złoty... odrzekł Mewa—trzykroć sto tysięcy gotówki z niespodziewanym dodatkiem siedmdziesięciu sześciu tysięcy... Taki sen, niech się święci...

Gabrys westchnął z głębi piersi i na westchnienie wyjechały wyrazy:

— Ależ megiera...

— Il! głupstwo... Będiesz mógł ulokować ją tak, ażeby ci jaknajmniej zawadzała... Przecież tercyza czy terpiza tylko raz się pisze... Wezmiesz imość w cugle a krótko i nawet Ksenię będziesz mógł, jeżeli ci się podoba, drugiemu wprowadzić drzwiami...

Gabrys, na wspomnienie Kseni, uderzył się dłonią w czoło, jakby raptem coś sobie przypomniał. Mewa ciągnął:

— Cały świat wie, że się żenisz tylko dla pieniędzy: więc nie potrzebujesz ceremoniować się z imością... Będzie parę scen, trochę krzyków i na tem się skończy... Oddasz jej pod rozporządzenie garderobę, piekarnię, praczkarnię, spiżarnię, dużo dziewczek, mnóstwo bab, stróża do pieców i będziesz miał spokój, wolność i pieniądze...

Przez ten czas Gabrys chodził, dumal i milczał.

W zadumanem milczeniu upłynęło mu dni kilka, w ciągu których wieść o jego ożenieniu rozbiegła się szeroko po okolicy i aż do Żytomierza sięgała. Sprawiała ona wrażenie niepospolite. Panny Eu rzeczywiście o mało się nie powściekały. Ale ludzie z zastanowieniem, tacy zwłaszcza, którym

głupstwa nie w głowie, dali bez namysłu temu rozpaczliwemu krokowi sankcję uznania i najprzód widzieli w Gabryśiu marszałka, najprzód powiatowego, następnie guberskiego. Adwokat napisał do niego list z powinszowaniem, w którym tak się wyraził:

— „Miło jest mieć takiego jak pan dobrodziej klienta, który adwokatowi stara się pomagać. Na wieść o pańskim ożenieniu, interesa nasze od razu się polepszyły. Można będzie nie tylko Orkiszówkę uratować, ale i o Bobowce, Motrenkę, Hałalijówkę i resztę się ułożyć, rozłożyć splaty i cały majątek powoli oczyścić”.

— A widzisz? — rzekł Mewa, gdy mu Gabryś ten ustęp odczytał. Podziękuj że mnie...

Gabryś uściśnął dłoń przyjaciela z uczuciem.

— Masz mi jeszcze za coś podziękować...

— Za co?...

— A za Ksenię...

— Nie... za to i nie dziękuję: boś m nie o mało na wieki nie naraził... tego... tam... hm...

Chciał powiedzieć: „głupstwo”, ale się zająknął i zaciął.

— Jakto?—zapytał zdziwiony przyjaciel.

— E! — machnął Gabryś ręką — nie gadajmy o tem... To moja tajemnica...

I westchnął.

Mewa ramionami ruszył.

Mewa nie odstępował przyjaciela, obawiając się ażeby—jak się w duchu wyrażał—nie zrobił jakiego wybryku i nie popsuł rzeczy, tak wybornie

ukartowanej. Lecz, gdy go dostatecznie ujeździł i zapewnił się z jego strony że małżeństwo przyjdzie do skutku, odjechał.

Gabrys zostawszy sam, zaczął myśleć—o Kseni.

Nie mam najmniejszej ochoty przepisywać jego myśli. Gniewa mnie mój bohater. Pragnąłbym przedstawić go jaknajlepiej — nie mogę. Poprawa jego podobną była do błędnego ogniska, po którym troszkę dymu pozostało. Ognikiem była miłość, dymem litość, która się z miłości urodziła.

Może w tej litości było kilka atomów miłości?—apewne, jednakże nie podjąłbym się ręczyć za to.

Wiem tylko—i o tem wyżej obszernie mówiłem — że Gabrys nie uznawał prawdy tej piosenki, śpiewanej przy fortepianie i gitarze, przez panny bez posagu, która się następującym kończy dwuwierszem:

— „Dla kochanka i kochanki,
Dość jest chatki pustelnika”.

Dla niego potrzeba było dworu, licznej służby, dobrego kucharza, wygod, preferansa, przyjaciół— a tego wszystkiego Ksenia mu dać nie mogła. Kochał ją jednakże. To i cóż z tego!... A od czego słownik mowy ludzkiej posiada takie wyrazy, jak: poświęcenie i ofiara? — *Poświęcił* więc miłość majątkowi. Zrobił z siebie *ofiara*, dla majątku. Czy to nie pięknie... brzmi?—Nad wynalezieniem to tego pięknego brzmienia—a raczej—nad zmuszeniem siebie do poświęcenia i ofiary, myślał Gabrys przez dni kilka.

Mysłał i—zmusił się. Wyrobił w sobie tyle woli, że po odjeździe Mewy, trochę jeszcze pomyślał, kilka razy westchnął i poszedł do pokoiku Kseni.

Dziewczyna, jakby przeczuwała swoje nieszczęście, była smutniejsza jak zazwyczaj. Musiała płakać, bo łzy miała w oczach. A jeżeli płakała, to zapewne pobudzona podwójnem przecuciem: i tego co kochanek miał jej zwiastować i tego, co w tym samym dniu odbywało się na horbaczowieckim smętarzu, gdzie kilku ludzi odniosło naprędce skleconą trumnę, a w tej trumnie zwłoki nędzarza, znalezione pod figurą, która między dwiema stała karczmami. Nędzarzem tym był Fed' pijak.

— Jak żył, tak umarł — mówili ludzie i wspominali o Kseni:

— A córka jego panuje...

Gorzkie takie panowanie.

— Ty smutna Kseniu... Ty płakała — tak zaczął Gabrys, wszedłszy i usiadłszy naprzeciwko pięknej Kseni.—Może ci jaka stała się krzywda?

— O nie, paniczu—odpowiedziało dziewczę.—Mnie tu jak w raj...

— Ale płakałaś!... czegóż płakałaś?...

— To nic... to tak sobie...

I uśmiechnęła się uśmiechem takim, jak malarze zawieszają na usteczkach aniołków. Gabrys tego nie widział, bo nie patrzył na nią.

— Przyszedłem z tobą pogadać...

Uroczysty ton tych wyrazów zdziwił i przestraszył Ksenię.

— Przyszedłem ci powiedzieć...

Tu zaciął się i skończyć nie mógł. Wyrazy ugrzęsły mu w gardle. Więc rzecz tak obrócił:

— Nie miałaś u mnie żadnej krzywdy...? najmniejszej...

— Żadnej... najmniejszej.— Odpowiedziała Ksenia i głęboko choć mimowolnie westchnęła.

— Więc widzisz, że ci sprzyjam... że mnie obchodzisz...

Zatrzymał się, czekając na odpowiedź. Ksenia milczała, trzymając na kolanach wrzeciono. Gabryś przeto musiał mówić dalej:

— Chciałbym, żebyś była szczęśliwą, żeby ci nigdy na niczem nie zabrakło...

— We dworze pozostać dłużej nie możesz, bo ja... bo j... hm... się żenię...

Spojrzał na Ksenię, bo mu się zdawało, że ten ostatni wyraz będzie dla niej piorunem. I był nim—rzeczywiście—tylko ten piorun, wpadłszy jej prosto do serca, obudził w nim dumę dziewczęcą. Ksenia wzięła z kolan wrzeciono, zakręciła je palcami i puściła w powietrze. To zdekoncertowało trochę Gabryśia, który był przekonany, że dziewczyna kochała go szalenie. Ciągnął więc dalej.

— Jest u mnie w lesie pasieczysko, a przy tem pasieczysku śliczny mały dworek... W tym dworku będziesz mieszkała... Nie będzie ci na niczem zbywało... Będziesz miała ogród i ogródek... W sadzie są drzewa owocowe, doskonałe czereśnie, jabłka i śliwki... Będziesz miała służącą...

— I wy, paniczku, będziecie przyjeżdżali na ko-

niu? — zapytała spokojnie, choć twarz jej ogniem pałała.

— O! jak najczęściej, ażeby się dowiedzieć, czy ci czego nie potrzeba...

— A pani będzie mieszkała we dworze?...

— Będzie...

— Będziecie jeździli od pani do Kseni, a od Kseni do pani?...

Gabrys odpowiedział jakimś mruknięciem, które ani potwierdzenia ani zaprzeczenia nie wyrażało.

— Dobrze — rzekła Ksenia. — W ogródku będą siała kwiatki i podlewała je... łzami...

I łzy jej z ócz potokiem lunęły.

Gabrys zaczął pocieszać, ale tak niezgrabnie — tak wysoko podniósł stronę materyalną pobytu jej w dworku przy pasieczysku — że prędko pocieszył, to jest utulił płacz taki gwałtowny, że zdawało się, iż pierś Kseni pęknie i rozskoczy się w kawałki.

Krótko trwał ten płacz. Ksenia otarła łzy rękawem od koszuli, uśmiechnęła się i rzekła:

— Jaka ja głupia!... Mnie tak będzie dobrze... Nie prawdaż paniczu?... Będziecie o mnie pamiętali?..

— Czyż możesz wątpić?... Ja ciebie tak... tak — tu zaciął się i bez względu na szyk gramatyczny, skończył — sprzyjam....

— Kiedyż mam się wybierać?...

— Kiedy zechcesz... jutro... pozajutro... za trzy dni....

— A dziś?...

— Dziś nie można... Trzeba żebym pierwej ka-

zał wyporządzić i wyczyścić dworek... Sam tego dopilnuję...

— Kiedyż wasz ślub?...

— Za dwa tygodnie...

— O, to trzeba się spieszyć, żeby waszej pani z drogi ustąpić.

I dodała niby sama do siebie:

— Szkoda, że ani moich kądzieli, ani wrzecion ani lnu z sobą zabrać nie będę mogła...

— Czemużbyś zabrać nie miała?..

— Tak sobie... droga daleka...

— Gdzież tam... wszystkiego dwie wiorsty.

— Może się spotkam z ojcem...

— Czemu nie!... Ułożę się o twego ojca z panem Bałabońskim... zapłacę mu i będziesz mogła mieszkać z ojcem... We dworze, nie, a tam będziesz mogła... Ot widzisz, tam będzie ci nawet lepiej jak we dworze...

Na te wyrazy, Ksenia obrzuciła Gabrysia wzrokiem od stóp do głowy, popatrzyła na niego przez chwilę, główkę spuściła i ręką lekko machnęła, jakby powiedzieć chciała:

— Czy ty mnie rozumiesz!...

Po kilku jeszcze zamienionych frazesach, wyszedł Gabrys i udał się do gabinetu, gdzie miał coś do zrobienia — jakiś list do napisania. Jakież było jego zdumienie, gdy nie dłużej jak w pół godziny po nim weszła do gabinetu Ksenia, ustrojona staranniej jak kiedykolwiek. Na sobie miała czystą, śnieżnej białości koszulę z sutemi połykami i wyszywaniem na kołnierzu, pazusze i rękawach, które

własną rękę dziergała. Cycowa fałdzista spodnica, przytrzymywana czerwonym paskiem, obwiewała drobnymi kwiatkami i rzutkami zgrabną jej i wysmukłą kibić. Piersi zakrywało kilka sznurów koralu i paciorek, zwanych na Rusi *namystem*. Z poza namysta przeglądała jedwabna czerwona zaścieżka. Na grzbiet spływały, z ubranej w kwiatki głowy, byndy i kosniki, cudnie odbijające odkrucznych jej, starannie uczesanych i nad czołem okręconych, grubych warkoczy. Z za pasa sterczała kądziel, w rękę trzymała wrzeczono, nawinione cieniutko świeżo rozpoczętą przędzą.

W ubraniu tem, z tą kądzielą za pasem i z tem wrzeczoniem w rękę, była zachwycająca. W jej piękności było coś, co nawiewało do wyobraźni wspomnienia mitologicznych bogiń, coś co nakazywało uszanowanie.

Gdy cicho drzwi otworzyła i weszła, Gabrys odwrócił się od stolika, przy którym siedział, a ujrzawszy ją, zerwał się.

Ona skinęła nań ręką.

— Siedźcie... paniczu... piszcie... Może to list do waszej pani... To wam pilno... Piszcie drobnutkiem pismem... Rozповідаł mi ojciec, że takim pismem zakochani książęta do swoich kochanek, księżniczek, pisują... Piszcie, ja wam nie będę przeszkadzała...

— To nic—bąknął Gabrys.

— O! nie nic... Jak pilno to pilno... Ja sobie trochę postoję... Chciałam na was jeszcze popatrzeć...

— Moja Kseniu — wyrwało się Gabrysiowi z serca.

Od akcentu, jakim te wyrazy były wymówione, Ksenia lekko całym ciałem drgnęła.

— Wasza pani musi być piękna i dobra...

— O!...

Chciał swoją narzeczoną nazwać, lecz za język się ugryzł.

— Wy ją musicie bardzo... bardzo kochać...

— A!...

— Tu znów za język się ugryzł.

— Chciałabym, żebyście byli szczęśliwi, wy z nią a ona z wami...

Gabrys westchnął.

— Będę o to Boga prosiła... będę bardzo prosiła... może On mnie wysłucha... bo go nie będę o siebie prosiła... Powiem Mu, że się ustąpiła z drogi waszej pięknej i dobrej pani... O! czemuż jej nie zobaczę... Pokłoniłabym się jej słicznie i w rączkę pocałowała i mówiłabym do niej: kochajcie, pani, mego panicza, mego jasnego sokoła... I odpowiedziałabym jej wszystko coście ze mną i dla mnie zrobili...

Gabrysiowi wydało się, że Ksenia stawia nieznacznie propozycję pozostania we dworze. Gdyby jego narzeczoną była rzeczywiście piękną i dobrą, a przynajmniej dobrą, przyjąłby tę propozycję, która Kseni w głowie ani powstała. Gabrys nie rozumiał, do czego jej mowa zmierza.

Ksenia, mówiąc, chodziła powoli po pokoju i od

czasu do czasu przypatrywała się rozwieszonym na ścianie pistoletom.

Gabrys i tego nie rozumiał. Wziął to za prostą ciekawość dziewczyny, która po raz pierwszy broń ognistą zbliżka widziała. Wziął za ciekawość i to, jak ona jeden kalibrowy pistolet zdjęła, obejrzała i wrzecionem w lufę szturkać poczęła.

— Co, robisz? — zapytał.

— Nic... Przyglądam się... Wrzeciono się zatkało...

Rzeczywiście: wrzeciono, na którym było trochę przędzy, wbiło się w lufę i wyjąć go nie można było.

— Daj... wyjmę ci go...

— Wyjmiecie potem—rzekła Ksenia obojętnie, urwała nitkę i zrobiła ręką ruch taki, jakby pistolet na ścianie chciała powiesić.

Nie powiesiła go jednakże, a tylko spuściła pod duży stół, który stojąc po środku, rozdzielał ją od Gabrysia przy biurku siedzącego. Stół ten był wielkim, spadającym do ziemi dywanem nakryty.

— Ja waszej pani nie będę widziała... Powiedzciej jej paniczu, żem jej z drogi ustąpiła... żem jej wasze szczęście przekazała... I o mnie niekiedy wspominajcie...

— Będę cię często odwiedzał...

Ksenia się na to uśmiechnęła i głowę pokiwała.

— Wy byliście dla mnie jasnym sokołem, mojem słońcem, mojem życiem, mojem wszystkim. O nic Boga nie prosiłam, od momentu kiedy was po raz pierwszy widziała, tylko ażebym mogła na

was, mój paniczu, patrzeć... patrzeć... patrzeć... aż... do... śmierci...

W tej chwili z za stołu wysunął się pistolet z którego sterczało ostrym końcem wrzeczono. Ostry koniec wrzeczona oparł się pod lewą piersią Kseni i huknął strzał.

Gabrys się zerwał, podskoczył i stanął osłupiały.

Ksenia leżała na wznak na podłodze. Krew z piersi płynęła jej po białej koszuli. Kilka jeszcze razy drgnęła ciałem, uśmiechnęła się i uśmiech zastygł na koralowych ustach, które powoli bladły, bladły i na wieki zbieleły.

— Cóż się potem stało? — zapytałem starego znajomego, który mi tę historię w Londynie opowiedział.

— Ziechało *wremiennie* oddalenie, przeprowadziło śledztwo — i kazało Ksenię pochować.

— A panna Leokadya?...

— Kazała Gabrysiowi powiedzieć, że jak się jej kiedy pokaże, to mu w oczy napluje...

— A Gabrys?

— Zabrali mu majątek wierzyciele. Rezyduje po domach krewnych swoich... Ma zamiar w łeb sobie strzelić...

— A panny Bałabońskie?...

— Wyglądają mężów.

— A Mewa, Staś, Ksawery?...

Mój znajomy, zamiast odpowiedzi, rękę wzgardliwie machnął.



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F
1271